MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 7. WARSZAWA, 17 LUTEGO 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

MAKJAWEL, MONTESKJUSZ i PROTOKUŁY MĘDRCÓW SYJONU

I

W CIEKAWEJ rozprawce p. t. „Odcisk dłoni", ogłoszonej w „Myśli Narodowej" (n-ry 51 — 53 z r. 1934), p. Stanisław Pieńkowski zajmuje się głośnym procesem berneńskim, mającym wykazać nieprawdziwość „Protokułów Mędrców Syjonu", i w szczególności sformułowanemi przez żydów osiemnastu pytaniami, na które mieli odpowiedzieć powołani znawcy... lub za znawców uchodzący.

„W pytaniach — ósmem części pierwszej i szóstem części drugiej — naprzód oświadczono (domyślnie), że znaczna część „Protokułów" zgodna jest z książką nie-żyda Maurice Joly'ego z r. 1864 p. t. „*Dialogues aux Enfers entre Machiavel et Montesquieu*", a następnie zapytano, czem zgodność ta daje się wytłumaczyć". Nie znając książki, autor wątpi przedewszystkiem, czy jest ona tak dalece zgodna z „Protokułami", „przyjąwszy jednak na wiarę" istnienie tej zgodności, przypuszcza, że „wszystkie te wieści i strzępy owej tajemnej nauki rabinicznej, jakie od czasu do czasu przedostają się... do świata aryjskiego, muszą mieć ten sam charakter tej samej mennicy idej i metod, z której wyszły też „Protokuły". I ów Joly i ów Retcliffe (autor drugiej książki, do której „Protokuły" mają być podobne, p r z y p. m ó j) natknęli się widocznie na jakieś odkrycia, źródła lub dokumenty z życia żydowskiego i każdy z nich na swój sposób je wyzyskał".

Przypadek sprawił, że mogę służyć Sz. autorowi wiadomością o bardzo ciekawej książce M. Joly'ego, pozostawiając mu wyciągnięcie zeń wniosków co do „Protokułów", w której to materji nie poczuwam się do żadnej kompetencji.

Angielski przekład „Protokułów" ukazał się w Londynie nakładem firmy „Eyre & Spottiswoode" z początkiem 1920 roku, zrobił duże wrażenie i... znikł. A w roku następnym „*Times*" zamieściły trzy obszerne artykuły swego konstantynopolitańskiego korespondenta (niepodpisanego; n-ry z 16, 17 i 18 sierpnia 1921 r.), który nareszcie „ujawnia", pochodzenie „Protokułów". „*Truth at last. The Protocols forgery! Methods of secret police*": Opowiedziana tam historja jest dość zabawna. Znajomy owego korespondenta pokazał mu książkę, którą kupił był wśród innych starych książek od b. urzędnika „Ochrany" w Stambule i w której rozpoznał źródło „Protokułów": były to „Djalogi". Korespondent podaje rozmiary i ilość stron książki, dodając, że to wielka rzadkość, bo gdyby było inaczej, „Protokuły" odrazu zostałyby uznane za plagjat. Ale jak „Protokuły" powstały z „Djalogów"? Otóż tajna policja Napoleona III, wśród której było wielu korsykanów,musiała mieć „Djalogi". W końcu XIX-go i z początkiem XX-go wieku w tajnej policji rosyjskiej służyli także korsykanie, cenieni jako pierwszorzędni agenci. „Nie jest rzeczą nieprawdopodobną", że jakiś korsykanin dał „Djalogi" swemu rodakowi w służbie rosyjskiej: „ale to tylko teorja", dodaje skromnie korespondent. A do czego służyły „Djalogi" przerobione na „Protokuły"? Oto na dworze petersburskim cieszył się wielkim wpływem niejaki *monsieur* Philippe, hypnotyzer i odgadywacz myśli, budząc zazdrość dworaków, cudotwórców i innych awanturników; przy pomocy „Protokułów" przedstawiony został jako agent żydowski. Co więcej: dla konserwatystów rosyjskich „Protokuły" stały się bronią w ich walce z prądami liberalnemi w Rosji. Wreszcie ponieważ rewolucja rosyjska była w znacznej mierze popierana przez element żydowski, „Protokuły" miały skompromitować ruch rewolucyjny wskazaniem na jego żydowskie pochodzenie. Zaznajomienie się Mikołaja II z „Pro-

tokułami" sprowadziło upadek rządu ks. Światopełk-Mirskiego. Stąd wynika, że „Protokuły" zostały poprostu przepisane, częściowo przerobione i uzupełnione przez „Ochranę". Zwykłe fałszerstwo literackie: *a litterary forgery*.

Korsykańska historja tajemniczej książki jest, jako się rzekło, dość zabawna. Ja osobiście doszedłem do jej posiadania drogą o wiele prostszą. Kiedyś, w szaro-błękitny wiosenny odwieczerz paryski, szperając w kramach bukinistów na nadbrzeżu Sekwany, znalazłem „*Dialogue aux Enfers entre Machiavel et Montesquieu ou la politique de Machiavel aux XIX-e siècle, par un contemporain*" (stron 330). Ponieważ pasjami lubię czytać i Macchiavellego i Monteskjusza, dla obu pełen najwyższego podziwu, kupiłem za parę franków kiążkę, nie mając pojęcia o Joly'm, ani o parenteli, mającej łączyć ją z „Protokułami". Nie wiem po dziś dzień, czy to taka nadzwyczajna rzadkość, bo że rzadkość, to pewna. Ale mój egzemplarz nosi napis: „Ostatnie wydanie, Bruksela 1868, w sprzedaży we wszystkich księgarniach"; były więc conajmniej dwa wydania i chociaż rząd Napoleona III tępił książkę, można być pewnym, że ją posiadają wielkie bibljoteki na Zachodzie.

Maurice Joly był adwokatem i publicystą paryskim, do tego masonem wysokiego stopnia. Zdecydowany przeciwnik rządów Napoleona „małego", karany był kilkunastomiesięcznem więzieniem; rządy te scharakteryzował interesująco w „Rozmowie", wydanej bezimiennie poza granicami Francji.

Pomysł nie jest nowy. Znamy greckie „Rozmowy Zmarłych" Lucjana z Samosate (II w. po Chr.) oraz „Rozmowy Zmarłych" Fenelona, pisane dla ks. Burgundji i wydane z początkiem w. XVIII. U nas pisał je Krasicki, który też przekładał Lucjana.

Dlaczego Joly wybrał do swej „Rozmowy Zmarłych" właśnie tych dwu pisarzy politycznych? Odpowiedź prosta. Walcząc w ciągu lat z tym systemem rządzenia, na którym opierało się Drugie Cesarstwo, musiał nieraz rozmyślać nad twierdzeniami Monteskjusza, którym rządy Napoleona III zdawały się zadawać kłam na każdym kroku, i porównywać je z radami Macchiavellego, którym te rządy zdawały się być posłuszne. Makjawel zwyciężał Monteskjusza, a jego uczeń stał, zewnętrznie biorąc, u szczytu powodzenia, wśród świetności i blasku „*Second Empire*'u". Naturalnie więc narzucał się pisarzowi pomysł djalogu tych dwu myślicieli politycznych.

„Zdaje się" — pisałem niedawno przy innej okazji — „że myślicieli i działaczy politycznych możnaby podzielić na dwa obozy. Pierwsi, dobrze znając ułomności natury ludzkiej i licząc się z niemi, rozumieją, że przyszłości narodu i trwałej potęgi państwa niepodobna na nich budować, zwracają się więc — nie słowami, lecz czynami, prawami, instytucjami — do lepszych stron duszy człowieka: do jego uczciwości i prawości, poczucia sprawiedliwości, honoru i obowiązku, do sumienia narodowego, wreszcie do jego naturalnych i uprawnionych dążeń i interesów, które nie mogą stać w sprzeczności z interesem narodowej całości. Według ich przekonania, państwo ma obowiązek czynić ludzi lepszymi, nie wolno mu posługiwać się środkami niemoralnemi, a tembardziej uciekać się do zbrodni.

Drudzy nie chcą widzieć w człowieku przyrodzonego dążenia do dobrego: z satysfakcją obnażają jego słabości, złe skłonności, upadki i występki, nieraz im pobłażają, jeśli wręcz niemi się nie posługują, i na tem budują gmach s w o j e j władzy, sądząc, że powodzenie wszystko uświęca, bo „zwycięzcy się nie sądzi"[1]).

Monteskjusza — „filantropa", „przyjaciela rodzaju ludzkiego", jak mówiono w w. XVIII-ym, Joly rozumie trafniej, swobodniej obraca się w świecie jego myśli, wkładając w usta obu współzawodników cytaty z jego „Ducha Praw". Gruntowniejsze studjum Monteskjusza musiałoby w niejednem poprawić, dokładniej określić i uzupełnić twierdzenia, wypowiadane przez jego ducha w rozmowie z duchem Makjawela; ale Monteskjusz nie odgrywa tu roli pierwszej, ani równej: poprostu daje Makjawelowi sposobność do rozwijania poglądów, które składają się na charakterystykę rządów Napoleona III-go. Otóż Makjawel Joly'ego—to nie jest c a ł y Macchiavelli, genjalny i wszechstronny myśliciel polityczny, autor przedewszystkiem wspaniałych „*Discorsi sopra la prima deca di Tito Livio*"; jest to tylko Makjawel z „*Il Principe*" i to nieco skrzywdzony moralnie. Nie czuć tu jego głębokiej troski patrjotycznej Włocha, który szuka Księcia dostatecznie utalentowanego, śmiałego i miłującego ideę Italji zjednoczonej i niepodległej, któregoby mógł poprowadzić we wszystkie choćby najciemniejsze i najniższe załamania natury ludzkiej i wskazać mu środki, choćby wiarołomne i gwałtowne, byle zdolne wydobyć naród z rozdarcia, bezsiły i upodlenia pod rządami obcych.

Nie czuć także zmysłu moralnego tego wielkiego człowieka, który, w owej okrutnej epoce pisząc rady dla swego Księcia, nie omieszkał nigdy ostrzec go, co jest uczciwe, a co nie; dość zajrzeć do sławnego rozdziału VIII-go, w którym mówi o tych, co przez zbrodnie doszli do panowania („*li quali modi possono fare acquistare imperio, ma non gloria*"). Makjawel Joly'ego — to raczej doradca techniczny uzurpatora, któremu wskazuje środki, jakiemi można zdobyć władzę i rządzić wbrew społeczeństwu; przez to staje się raczej symbolem tak zwanego makjawelizmu, niżeli żywym portretem sekretarza Signorii florenckiej. Tego symbolu nie ożywią słowa, któremi tłumaczy Monteskjuszowi swe dzieło: „Moją jedyną zbrodnią jest, że mówiłem prawdę tak ludom, jak królom; nie prawdę moralną, lecz prawdę polityczną; nie prawdę, jaką powinna być, lecz taką, jaką jest, jaką zawsze będzie. To nie ja jestem twórcą doktryny, której ojcostwo mnie przypisują, lecz serce człowieka. Makjawelizm jest dawniejszy od Makjawela". I dalej: „Z równą słusznością możnaby zarzucać uczonemu, że poszukuje fizycznej przyczyny padania ciał, które nas ranią spadając, lekarzowi, że opisuje choroby, chemikowi, że pisze historję trucizn, moraliście, że opisuje występki, historykowi, że pisze historję". A gdy Monteskjusz zwraca mu uwagę, że przyrodnik, lekarz, moralista, historyk badają zło, nie poto, żeby je zalecać, lecz żeby zwalczać, Makjawel tak określa swoją postawę zasadniczą: instynkt złego w człowieku jest silniejszy, niż instynkt dobrego; okiełznać go może tylko siła; państwo ma tak samo wrogów wewnętrznych, jak zewnętrznych, i w stosunku do nich winno używać tych samych środków, co względem wrogów zewnętrznych; interes stoi ponad prawem

---

[1]) „My i oni w walce o konstytucję". Poznań 1935, stron 60.

i zło może rodzić dobro. I wtedy nasuwają się pytania: państwo ma wrogów wewnętrznych, czy rząd? Bo to nie to samo. Czy uzurpator, tyran, despota może traktować jako wroga wewnętrznego cały naród? Czyj interes stoi ponad prawem? Jakie, czyje dobro może ze zła się rodzić?

Nie, Makjawel Joly'ego nie jest prawdziwym Macchiavellim; niemniej jest bardzo interesujący właśnie jako „technik polityczny". Ostatecznie i Protokuły Mędrców Syjonu są podręcznikiem techniki politycznej. Dlatego właśnie może „Rozmowa między Makjawelem a Monteskjuszem" przyda się szanownemu autorowi „Odcisku dłoni". A może i innym.

(D. c. n.) BOHDAN WINIARSKI

MANIFEST DONCOWA

W OBOZIE „ukraińskim" w Polsce zabrzmiał głos, który zasługuje na to, by wywołać echo ze strony narodowej polskiej. Jest nim obszerny artykuł — tonem swoim i treścią nabierający znaczenia prawdziwego manifestu — p. t. *„Czy zachid?"* (t. j. „Czy zachód?") p. Dymitra Doncowa w majowym numerze nacjonalistycznego, ruskiego miesięcznika *„Wistnyk"* [1]).

Zacznijmy od wyłożenia poglądów p. Doncowa.

Artykuł młodego przywódcy „ukraińskich" nacjonalistów zaczyna się od stwierdzenia, że Ruś („Ukraina")jest terenem zmagania się ze sobą pierwiastków wschodu i zachodu. Musi ona wybierać, czy chce być czemś pośredniem między wschodem i zachodem (a tem samem czemś bezkształtnem i bez wyrazu), czy też sprzymierzyć się ze wschodem przeciw zachodowi, czy wreszcie — z zachodem przeciw wschodowi. P. Doncow stanowczo, bezkompromisowo i entuzjastycznie — opowiada się po stronie zachodu. Stwierdza on, że Ruś powinna się zwrócić ku podstawom cywilizacji zachodniej. „Aby wzmocnić nasze dłonie i wyostrzyć nasz wzrok, aby uzbroić się w te *„idées en armes"*, jakie kują tylko w krajach, gdzie stąpnęła noga Rzymu".

I tutaj przechodzi zaraz do zasadniczego pytania — gdzie tego Zachodu szukać? Tu się zaczyna zagadnienie, które nadało artykułowi tytuł. Czy ten zachód, o który Ruś ma się oprzeć, to jest Polska? Czy Polska jest istotnie tym właśnie, pełnym zachodem?

„Czy tak? Bezwątpienia, kraj, który przejął swoją kulturę z rąk rzymskiego katolicyzmu, jest krajem zachodniej kultury. Ale czy tego walczącego Zachodu? Czy ideje, jakiemi ten kraj teraz żyje, są naprawdę temi *„idées en armes"*, jakiemi uzbroił się zachód przed destrukcyjnemi zakusami wschodu?"

Naród, z którego warto jest siły czerpać, powinien być ożywiony jakąś wielką ideą i powinien wielkie ideje u siebie wykuwać:

„Dwie wielkie ideje stały u kolebki Polski historycznej: *ecclesia militans* i hegemonja na wschodzie. Ideje, nieprzychylne dla nas, ale tego samego gatunku, co ideje Zakonu Krzyżackiego, lub hiszpańskich zdobywców Ameryki. Były to ideje pełne rozmachu, podkreślały swoje zasadnicze przeciwieństwo do wschodu, dźwigały — ogromny ciężar, stawiały na kartę swoje istnienie, wiedzione wielką pracą swego historycznego przeznaczenia. Napełniona była niemi cała polska kultura, cała mistyka tej kultury. Koniec XVIII wieku, a właściwie już połowa XVII zadały tym ideom wielkie ciosy, ale ich nie zabiły.

Temi ciosami były początki rusyfikacji, zmiany psychiki polskiej warstwy oświeconej w kierunku jej „odeuropeizacji"... (Nadszedł wreszcie) zanik poczucia zasadniczości polsko-rosyjskiego konfliktu, zanik idei „przedmurza Europy", którego to zaniku wyraz jasny dał później Dmowski, zanik zasadniczej nieprzyjaźni dwu kulturalnych światów, jakiej to nieprzyjaźni niema nawet śladu np. w stosunkach francusko-niemieckich, gdzie „nienawiść polityczna" jest znacznie głębsza i silniejsza.

W duchu zacierania tej istotnej nieprzyjaźni wychowywały się popowstaniowe generacje polskie w Kongresówce. Marjan Zdziechowski pisze: „Zaczynałem gimnazjum (rosyjskie) z wyniesioną z domą niechęcią, może odrazą do rosyjskiej mowy i literatury. Kończąc, byłem w literaturze tej rozkochany". Równocześnie: „budziła się sympatja do społeczeństwa rosyjskiego", a rewolucyjny ruch w Rosji wywołał w Kongresówce „rewolucyjne moskalofilstwo". Zamiast wiary w Europę, rodziła się wiara w „Młodą Rosję", która była tą samą starą Rosją, tylko przewróconą na lewą stronę. Mówiąc dalej o Dmowskim i orjentacji narodowej demokracji w czasie wojny, Zdziechowski zauważa: „rozumiem, że możnaby było uważać trjumf Rosji za mniejsze zło, ale jak można mieć entuzjazm dla mniejszego zła, tego nie mogłem nigdy zrozumieć"...

To był ten entuzjazm (tak znany i u nas), jaki powoli stwarzał w społeczeństwie przeciw-europejski nastrój, jaki podważył panującą w Polsce ideję religijnego, politycznego i kulturalnego opanowania Wschodu, ideję, która postawiła polskość w centrum nie lokalnych, ale wielkich, globowych antagonizmów, jakich chorążymi byli Cromwell, Wallenstein, Gustaw Adolf: która nie pozwalała Polsce gnić w parafjańszczyźnie".

Autor pisze następnie, że po rozwoju polskiej literatury widać, jak kurczyły się wielkie ideje, ożywiające Polskę i jak dostawała się Polska pod wpływ wschodu. Między innemi, stwierdza wpływy rosyjskie w twórczości Żeromskiego i Zapolskiej:

„Te wszystkie cytowane dzieła Żeromskiego (Katerli), Zapolskiej i Szczuckiej, nacechowane są owem „cierpiętnictwem", tak dalekiem nawet od pewnego siebie aktywizmu i zaczepności Sienkiewicza i Jaremowej bezkompromisowej pogardy dla „tałatajstwa".

Kiedy czytam o detronizacji tego Jeremiego Wiśniowieckiego w wielkiej części prasy polskiej, kiedy czytam, jak konserwatywni autorowie wyrzekają się walki z kulturą bolszewicką, jak wydobywają na światło dzienne starą, zbankrutowaną, anti-europejską ideę słowianofilską, widzę w tem kurczenie się i zanik myśli, jaka nadawała polskiemu mesjanizmowi siłę szerokich, współczesnych mu prądów europejskich.

Kiedy czytam, jak w umyślnym Liście Episkopatu biskupi witają „dobre, sąsiedzkie stosunki" z krainą bezbożnictwa, jak w tych stosunkach widzi się „utrwalenie europejskiego pokoju", to wydaje mi się, że cmentarna cisza tego pokoju jest najważniejszem zadaniem, do jakiego zdąża *ecclesia militans*... Ja widzę w tem wszystkiem zanik możliwości myślenia kategorjami innemi, niż kategorje Narodu — prowincji.

To zacieśnienie horyzontu, ta rezygnacja z misji o światowo-historycznym charakterze, prowadzi do przekreślenia jej i w przeszłości: nowy, ciasny krąg patrzenia przystosowuje do swoich potrzeb historję, obcina ze szeroką spuściznę

[1]) Z wielkiem więc opóźnieniem sygnalizuję tę publikację czytelnikom „Myśli Narodowej". Tak się złożyło, że artykuł Doncowa w *„Wistnyk'u"* uszedł mej uwagi, — dowiedziałem się o nim dopiero dzięki jego oddźwiękom w prasie polskiej. Ale i wówczas nie znalazłem jakoś czasu, aby artykułem tym się zająć. Tak więc doszło do siedmiomiesięcznego opóźnienia. Ale artykuł Doncowa jest wystąpieniem tej wagi — że nawet tak wielkie opóźnienie nie zwalnia od obowiązku zajęcia się nim. Tembardziej, że cechę aktualności nadają temu tematowi świeże repliki p. Doncowa w *„Wistnyk'u"* na wywołane jego artykułem wystąpienia polemiczne sanacyjnych konserwatystów polskich.

przodków. Górka wytyka błędy dawnej polityce jagiellońskiej, dowodzi im *post factum*, że powinni byli wstrzymać ekspansję, a z Krymu, Mołdawji i Ukrainy stworzyć państwa buforowe, przedmurki, ale „nie świata chrześcijańskiego, tylko Polski". Polska powinna była zwęzić swój konflikt ze wschodem, konflikt dwu światów, do roli sporu o miedzę, do konfliktu Danji z Niemcami o Szlezwig, albo Belgji z Niemcami o Eupen i Malmedy...

Nie wylewamy tu łez nad omawianym faktem (byłoby to dziwne u Ukraińca), stwierdzamy tylko fakt: zrzeczenia się przez Polskę jednej z tych „uzbrojonych idej", jakiemi silna jest Europa, dzięki którym broniła się i broni przeciw zalewowi wrogiej cywilizacji Wschodu, dzięki którym ta Europa w oczach narodów, przywalonych tym Wschodem (jak my), jest źródłem wszelkiego dobra, do którego trzeba iść po naukę".

Następnie zajmuje się autor charakterystyką panującej dziś w polskim światku intelektualnym atmosfery — i stwierdza dalszą ewolucję odzachodnienia Polski na przestrzeni od „Dziejów Grzechu" Żeromskiego do... „Wiadomości Literackich". I konkluduje:

„Przytępienie przeciw-wschodniego kierunku narodowej elity, likwidacja kulturalnego mesjanizmu, duchowa asymilacja do wschodu, powolne osłabienie dawniej niewzruszonych, zachodnich pierwiastków, w najlepszym wypadku neutralność w walce dwu cywilizacyj, zwątpienie o własnej, europejskiej, kulturalnej wyższości, rewizja idei zachodnio-europejskiego *ante-murale*, zwężenie antagonizmu zasadniczego do rozmiarów sporu granicznego, defetyzm, zamiana „zbrojnych idej" na gwarancje i syntezy.

Nie znaczy to jeszcze, abyśmy szukali przymierza z każdym zachodem wojującym, choćby był *contra* nam zwrócony. Ale w tym wypadku niema żadnej obawy. To tylko w XVI wieku obrońcy prawosławia na Ukrainie szukali duchowego oparcia w „łacińskiej" nauce polskiej. Ale nie u Dmowskiego, skamieniałego w niemym zachwycie przed moskiewskiem dziwadłem, nie w „Wiadomościach Literackich", z Radkiem, Tuwimem, Erenburgiem i Ławrentjewem, którzy niedawno wywołali okrzyk obrzydzenia we francuskiej prasie, nie w Otmarowych korespondencjach, nie w tej atmosferze moralnego rozkładu i duchowej kapitulacji, mamy, my Ukraińcy, szukać pokrzepienia.

Tego trzeba szukać gdzieindziej, u samych źródeł łacińskiej cywilizacji. Tam, gdzie żyje świadomość zasadniczego przeciwieństwa do wschodu i konieczności walki z nim...

Zachód mobilizuje się. Zachód odzyskuje swoją agresywność. Ten Zachód, nie wyczerpany ideowo, nie stracił swojej potężnej dynamiki. Jest świadomy niebezpieczeństwa ze wschodu, czego nie można powiedzieć o innym Zachodzie, o tym, który „sygnalizuje" swoją cześć moskiewskim wysłannikom w Wiedniu. Tiutczew pisał: „między Europą, a Rosją nie może być ani paktów, ani zawieszenia broni. Życie jednej, — śmierć drugiej". Świadomość tego, zawsze żywa w Europie, teraz potężnieje. Wrogowie Europy mówią o „nowem średniowieczu". Tak, dla odparcia zabójczych doktryn Wschodu, Europa odnalazła swoje dawne oblicze, z jakiem walczyła z Maurami, Attylą, z Turcją: lochy dla heretyków, inkwizycja dla niedowiarków, koło dla renegatów, dawny hart, cały kodeks wartości, karności, z jaką kiedyś natchnęła nowemi siłami i nasze stepy.

Wtedy, kiedy jako przednia straż tej Europy stały na stepach Połowców Igorowe pułki, szukając nie „szczęścia pracującego ludu", choćby z rąk zbrodniarzy, ale honoru i sławy, walcząc nie o miedzę, ale o zniszczenie Ordy, nietylko zdobywali oni stepy, ale i napełniali je ideami, które były prawdziwemi „*idées en armes*". Na Zachodzie wtedy szukali ich, na Zachodzie prawdziwym i teraz je znajdą.

Ad fontes!"

Czytelnicy widzą już, jak wielkiego znaczenia jest to wystąpienie — i jak dalece warto było przytoczyć z niego tak obszerne wyjątki.

Rzeczy, które są w sprawie tego wystąpienia do powiedzenia ze stanowiska narodowego polskiego, są dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, trzeba się ustosunkować do zasadniczej, zawartej w artykule p. Doncowa deklaracji o szukaniu przez Rusinów oparcia w cywilizacji zachodniej. Po wtóre — trzeba się zająć poglądem p. Docowa na „zachodniość" dzisiejszej Polski, ustalić w czem i o ile ma on słuszność i zareplikować na to, co w jego twierdzeniach słuszne nie jest.

Zacznijmy od punktu pierwszego.

I tu trzeba stwierdzić odrazu i bez wszelkich zastrzeżeń — że dążność Rusinów, a przynajmniej ich pewnego odłamu, do zerwania ze wschodnią (częściowo) genezą ich cywilizacji i do mocnego oparcia się o zachód, w każdym polskim narodowcu budzić musi szczerą i gorącą radość. Wprawdzie p. Doncow nie jest pierwszym Rusinem, który tę filo-zachodnią tendencję zdradza. Tak np. w niektórych kołach grecko-katolickiej cerkwi w ziemi Czerwieńskiej kiełkują nie od dziś „zachodnie", rzymskie tendencje. (Oczywiście, nie mówimy tu o stronie religijnej, lecz cywilizacyjnej; w znaczeniu religijnem, cała cerkiew unicka jest katolicka, rzymska. Ale kościół katolicki jest kościołem uniwersalnym, — można być katolikiem, a cywilizacyjnie należeć do wschodu, nawet bardzo dalekiego: chińskiego, japońskiego, czy indyjskiego). Jednak tak zdecydowanego i tak świadomego swych dążeń wystąpienia ruskiego w duchu zachodnim, jeszcze dotąd nie było.

Naszem pragnieniem jest, by Rusini stali się z czasem częścią narodu polskiego, — tak samo, jak się to już stało w przeszłości z ich również wszak pierwotnie wschodnią cywilizacyjnie szlachtą, oraz w większych jeszcze rozmiarach ze szlachtą i nietylko szlachtą litewską. Z tego punktu widzenia, ściślejsze zespolenie się Rusinów z cywilizacją zachodnią jest faktem ogromnej wagi i niezwykle pomyślnego znaczenia: niesposób bowiem jest asymilować żywiołu zbyt od nas różnego cywilizacyjnie, i taka asymilacja, powierzchowna i tylko polityczna, mogłaby być dla przyszłej, cywilizacyjnej, duchowej spoistości narodu niebezpieczna.

Ale nawet, gdyby nasze dążności asymilacyjne wobec Rusinów miały się nigdy nie ziścić, i gdyby potomkowie dzisiejszych Rusinów mieli na zawsze pozostać naszymi wrogami i odrębnym od nas narodem, lepiej jest, by byli nam bliscy cywilizacyjnie. Sąsiedztwo z żywiołem, obcym cywilizacyjnie, wywiera zawsze wpływ destrukcyjny, — nawet wówczas, gdy nigdy nie ustaje z tym żywiołem walka. To wcale nie jest wszystko jedno, jakich się ma wrogów: nawet wróg słaby fizycznie, ale mogący nas rozkładać przez sam fakt swojego do gruntu nam obcego wpływu, potrafi czasem trwalsze szkody wyrządzić, niż wróg silny, lecz pokrewny. Przykład różnicy między wpływem Rosji, politycznie mniej dla nas szkodliwym, lecz duchowo nas rozkładającym, a wpływem Niemiec (też nam bardzo obcych, lecz od Rosji pokrewniejszych), politycznie bardzo dla nas niebezpiecznych, lecz w innych dziedzinach, mających nawet wobec nas pewne zasługi (zasługę zahartowania nas w walce), dostatecznie tę prawdę ilustruje. Gdyby Rusini — nawet pozostając naszymi wrogami — stali się nam cywilizacyjnie bliżsi i pokrewniejsi, byłoby to faktem ogromnej wagi dla naszej przyszłości. I zresztą tę samą, pomyślną wagę miałby ten fakt dla Rusinów, dając im jakieś mocniejsze cywilizacyjne oparcie i Doncow zupełnie słusznie, nawet ze stanowiska ściśle „ukraińskiego", wartość zachodu dla swojego środowiska tak wysoko ocenia.

A teraz — replika na twierdzenia Doncowa o Polsce. Ale o tem — innym razem.

JĘDRZEJ GIERTYCH

O POPULARYZACJĘ POEZJI

(PRZYCZYNEK DO SPRAWY CZYTELNICTWA LUDOWEGO)

PROJEKT przymusowych bibljotek po miastach, miasteczkach i wsiach wychodzi z zasady bardzo słusznej i zbawiennej: że trzeba ludowi dostarczyć książek do czytania, bo lud chce czytać, a książek ma mało. Nic prawdziwszego. Jeśli jednak projekt ten napotkał na szeroki w opinji opór, to dlatego, że należy on do tych pomysłów marzycielskich, które (jak np. szkoła 7-klasowa z jednej, a pół miljona dzieci bez żadnej szkoły z drugiej strony!) — nie liczą się z warunkami rzeczywistemi. Wieś jest zbiedniała okropnie, a nauczycielstwo wiejskie przeciążone rozlicznemi — jakże często niepotrzebnemi — pracami. Kto zechce i zdoła owe bibljoteki utrzymywać, kto chętnie i gorliwie poprowadzić?

Jest na wsi głód książki. Ten miljon dzieci, który w zimne poranki późnego września marznie przy krowach na ściernisku, chętnie bierze do ręki książkę, jeśli ją tylko dostanie. Czyta chętnie i dorosły (nie mówiąc już o bibljofilach zamiłowanych). Wie o tem każdy, kto na wieś przyjeżdża z kilku zajmującemi książkami w kuferku. Nie próżnują. Powieści Orkana, wypożyczane w Ustroniu przez znanego bibljofiia - robotnika, p. Jana Wantułę, w ciągu paru lat obeszły dziesiątki domów (robotniczych, drobnomieszczańsko-włościańskich) i zostały zdarte i zabrudzone do ostateczności: najmilszy znak! Młody góral z Ratułowa, Stanisław Jaworek, który pożycza odemnie „Trylogję", czytuje na głos po 4 — 6 godzin dziennie! Jednego dnia przeczytał jednym tchem cały tom „Ogniem i mieczem". Czytuje żonie, rodzinie, czasem i obcym — a przy śmierci p. Longina — gaździnka „płakała"...

Dobrze, niech płaczą nad książkami. Człowiek potrzebuje takich luksusowych łez. Niech się śmieją. Łatwiej i zdrowiej przebrną ten twardy czas. Niech czytają. Zrozumieją prędzej, że także ci są coś warci i do czegoś przydatni, co nie chleb robią, lecz książki i pisma. Krótko: książka jest na wsi i potrzebna i przez lud pożądana.

W tej chwili wieś, miasteczko, przedmieście strawiłyby, jak nic w ciągu paru lat najbliższych, dobrych kilkanaście dziesiątek miljonów tomów.

Ale cóż po bibljotekach przymusowych, nawet gdyby skądinąd projet to był realny, — o czem wątpię wraz z wielu innymi — kiedy, jak zauważono (p. Stanisław Czernik w „I. K. C."), niema dostatecznej ilości książek do wypełnienia tych bibljotek! Jest to spostrzeżenie niezmiernie trafne — i podejmując je, pozwalam sobie wystąpić z pewną myślą, którą raz już pod rozwagę opinji publicznej, niestety bez żadnego, o ile mi wiadomo, echa, poddałem[1]).

Tak, mało jest książek dla ludu odpowiednich. Kiedy mój gazda Jaworek przychodzi do mnie po książki do czytania, prędko się wyczerpuje mój zapas. Przeczyta „Trylogję", dam „Krzyżaków", dam jakieś awanturnicze powieści indyjskie mojego chłopca, dam „Orlęta" Schrödera; dałbym Kraszewskiego i Jeża, gdybym miał w szafie; dam mu „Honornych Orawiaków" Machaja, — tak chętnie czytywanych! — i „Gazdów w Paryżu", spróbuję dawać Orkana (choć swoją drogą obawiam się zabrudzenia tych ładnych tomików edycji Pigonia). Po innych bibljoteczkach domowych znajdzie się jeszcze niejedno do pożyczania.

Ale wkońcu książki ludowej, w pełnym tego słowa sensie, jest naogół mało: książki, któraby była równie zajmująca jak tania, tania jak obfita, obfita w tytuły i egzemplarze.

I tu przychodzi mi na myśl, że jest duży dział piśmiennictwa, który mógłby dobrze spełnić zadanie swoje słowonośne, gdyby był odpowiednio udostępniony czytelnikowi ludowemu: Poezja, ale głównie poezja epiczna i gawędziarska, z „Zajazdem szlacheckim na Litwie" — na czele. Próbuję dać Jaworkowi „Pana Tadeusza", ale on, zajrzawszy do książki i widząc, że „to wiersze" — robi minę dość rzadką. Czując, że, przynajmniej w tym wypadku, ta książeczka, jeśli zbłądzi do chaty wiejskiej, będzie tam leżała bez użytku — zatrzymuję ją na półce i oglądam się za jakąś prozą awanturniczą. A przecież — wiadomo mi o tem z doświadczenia własnego w stowarzyszeniu robotniczem krakowskiem, gdziem „Pana Tadeusza" na głos przed bardzo zadowolonem audytorjum czytywał — że poema szlacheckie ma wszystkie dane, żeby się podobać ludowemu słuchaczowi i czytelnikowi.

Zajmuje wyobraźnię żywym tokiem przygód, uderza prosto i głęboko w struny rasowej werwy i humoru, przenosi czytelnika ludowego w świat piękniejszy i swobodniejszy niż jego własny, ale bardzo mu zrozumiały: Przecież staroszlacheckie na codzień—to wspaniała, wymarzona chłopska niedziela. Dać ludziom tę niedzielę na niedzielę! Świetne powodzenie Trylogji (i „Krzyżaków w Prusiech Wsch.) u ludu jest najlepszym dowodem, że to bzdurne bajdy, iż „kultura szlachecka" nie ma nic wspólnego z kulturą ludu.

Ale jak tego „Pana Tadeusza", te wiersze, wcisnąć do ręki masie czytelniczej ludowej? Nie idzie zresztą o samego tylko „Pana Tadeusza". Po szafach bibljotecznych leżą tomiska wydawnictw zbiorowych Syrokomli, Pola, Or-Ota, i podobnych im, innych jeszcze jakichś, pełnych sympatycznej prostoty poetów gawędziarzy — i kto to dziś czyta? Poza polonistą-szperaczem chyba nikt. A przecież to jest literatura ludowa pierwszej klasy!

Literatura, która powinna wejść w obieg masowy, (nietylko zresztą między wieśniaków, także młodzież i wogóle czytelników prostotniejszych) któraby niezmiernie wiele rozkoszy sprawiła czytelnikowi niewyrafinowanemu i niezblazowanemu, literatura wesoła i tkliwa, zadzierzysta, rytmiczna i fantastyczna, zawsze poczciwa, — a nieraz — u Syrokomli zwłaszcza — wzniosła, ale wzniosła na miarę pojemności uczuciowej ludu dostępną — słowem literatura, któraby niezmiernie wiele dobrej zabawy sprawiła — a która się dziś marnuje

[1]) Podczas „Tygodnia książki", w „Głosie Narodu" z 7.XII.1933 r. w artykule p. t. „Książki coby się przydały".

po szafach; przerzucana na półki coraz ciemniejsze. Wymarli dawni czytelnicy naiwni — miljonom nowych czytelników naiwnych jest niedostępna.

Więc: Wydać na nowo wybory tych, zaiste, ludowych poetów, wydać masowo, wydać tanio, najtaniej. Ale w tym momencie idzie mi o co innego. Jak wcisnąć te wiersze czytelnikowi ludowemu — kiedy wiadomo, że on się wiersza raczej lęka? I lęka się bez racji.

Otóż sądzę, że wiersz, podzielony na rządki, jest utrudnieniem czytania: Bo rządki nie godzą się— najczęściej — z podziałem myślowym, z tokiem zdania. Dodajmy też, że duże litery na początku rządków przecinają bieg apercepcji czytelniczej. Po zniesieniu tych zawad uwaga bieży bez przeszkód za myślą tekstu — a zarazem ucho wysłuchuje mimochodem, jako przyjemną niespodziankę na początek, a przyjemne przyzwyczajenie na później, akompanjament rytmu i rymu (który zresztą jak wiadomo, też jest rodzajem rytmu).

Niech się nikt nie powoduje przy rozważaniu tej myśli obawą, że jest to jakieś świętokradcze porywanie się na uświęconą, tradycyjną formę! Wszak podział na rządki jest pozostałością po poezji skandowanej a potem śpiewanej, dziś poezja jest czytywaną — oko i apercepcja przez oko fungują przy pożywaniu poezji.

A więc: Jeśli jest masa poezji, wyśmienitej dla ludu, a której ludowi — naogół nie chce się czytać, bo on się wierszy obawia, to puśćmy się na mały podstęp i te wiersze podajmy mu jako (rzekomą) prozę[2]).

Proszę porównać bez przesądu:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy (!)
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty co gród zamkowy (!!)
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia przywróciłaś cudem
(Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę (!!)
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę (!)
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu (!!)
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu) —
Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono!“

W 9 wierszach 5 przerw typograficznych w toku zdania, z tego 3 krają zdanie ostro i raptownie (choć dobrą deklamację właśnie waloryzuje te przerwy—ale nie o nią tu idzie).

A teraz:

„Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie! Ty co gród zamkowy nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem! Jak mnie, dziecko, do zdrowia przywróciłaś cudem (gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę ofiarowany, martwą podniosłem powiekę i zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu iść, za wrócone życie podziękować Bogu) — tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono!“

Albo znów inny przykład:

„Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku dla szkodliwości albo niedobrego smaku, lecz nie są bez użytku. One zwierza pasą i gniazdem są owadów i gajów okrasą. Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi naczyń stołowych sterczą — tu z krągłemi brzegami surojadki srebrzyste, żółte i czerwone, niby czareczki różnem winem napełnione; koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe; lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe; bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie, jakby mlekiem nalane, filiżanki saskie i kulista, czarniawym pyłkiem napełniona purchawka, jak pieprzniczka“

Nie jestem czytelnikiem ludowym, ale przyznam się, że dopiero w tym układzie czuję wspaniałą kolorowość opisu, nad którym raczej „przelatywałem.” Czuję ją, bo rozumiem dokładnie te słowa, które, posiekane rządkami i wielkiemi literami, nie jest zachę cające do smakowania w nich.

I jeszcze nakoniec:

„...znowu muzyka inna, znów zrazu brzęczenie lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy, jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej... Lecz strun coraz przybywa: już rozpierzchłe tony łączą się i w akordów wiążą legjony, i już w takt postępują zgodzonemi dźwięki, tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki: O żołnierzu tułaczu, który borem lasem idzie, z głodu przymierając czasem.”

Ale dość już tej wspaniałej „prozy”! Miałbym ochotę całą książkę tak przepisać, rozebrać ją z szaty wzrokowej, przez sztuczność swą i monotonję odstraszającej i podać ją do czytania „wszystkim, wszystkim, wszystkim”, w jej naturalnym, dla ucha i dla myśli przeznaczonym, potoczystym wyglądzie.

Jeśli głęboko przekonany jestem, że ta skromna typograficzna reforma byłaby niezmiernie doniosła, skoro idzie o wywalenie bram umysłowości czytelnika ludowego (i wogóle masowego!) — dla poezji — to na podstawie doświadczenia: „Pan Tadeusz” został przed wojną właśnie tak przez łódzki „Rozwój” wydany w takim właśnie układzie; nie wiedziałem o tem jeszcze, po raz pierwszy występując z tym pomysłem. Niebawem dostał mi się do rąk egzemplarz owego wydania: dałem go dla próby chłopcu 11-letniemu, który bardzo chętnie słucha wierszy, ale nie czyta ich chętnie; tego niby „prozaicznego” „Pana Tadeusza” przeczytał, gładko i szybko. Podobnież, kilka lat temu ten sam dziecinny czytelnik z największą łatwością przeczytał bajki Or-Ota, taką samą niby prozą ułożone — łatwiej i chętniej przeczytał niż utwory wierszowe „normalne”. A która nauczycielka dyktując ze zbioru dyktand Warunkównej i towarzyszek, jeśli tylko zechce zabawić się w instrukcje nie zauważy jak uroczą są niespodzianką rytmów i rymów nie narzucających się typograficznie — cytaty pseudo-prozaiczne z Syrokomli, Pola, Lenartowicza, Konopnickiej, Gomulickiego i innych?

Nalegam: Jestem najgłębiej przekonany, że eksperyment proponowany miałby świetne i doniosłe skutki. Wiele najlepszej i dobrej poezji poszłoby w masę. Po autorach dawniejszych mogłyby pójść i utwory niektóre z epoki bliższej, np. Janosikowe ballady Tetmajera, Kasprowicza opowiadanie z życia ludowego i t. p., możnaby i lirykę spróbować puścić w tym układzie. A napewno, skoro epika rymowana znalazłaby masowy zbyt—to i między młodymi poetami znaleźliby się tacy, którzy na tem niby naiwnem, ale uświetnionem już wspaniałymi przykładami, polu, chcieliby próbować swej poetyckiej władzy.

Sądzę, że instytucja wyznaczona przez państwo do opieki nad piśmiennictwem i czytelnictwem—Akademja Literatury powołana jest przynajmniej do namysłu nad tym projektem, do jego oceny, jeśli już nie realizacji, przez inicjatywę do Instytutu Wydawniczego książki ludowej—lub zachęcenie którego z wydawców do takiego przedsięwzięcia?

*

[2]) Ale przyznam, że w poezji lirycznej, która do śpiewu zbliża się, podział na rządki (i strofy) jest bardziej uzasadniony niż w epicznej! Tembardziej we wierszu wolnym, gdzie, w braku regularnej rytmiki, zależy na wskazaniu czytelnikowi rozczłonkowania rytmicznego — np. w „Hymnach” Kasprowicza — taka modyfikacja byłaby mniej wskazaną. (Choć, swoją drogą, poemat M. Pawlikowskiego „Wierzę w jednego Boga“, który jako niby to proza rytmiczna o rymach przypadkowych, ale przy analizie okazująca się wierszem wolnym — wolniejszym niż „Hymny” — nic nie traci, owszem, jak sądzę, wiele zyskuje właśnie na takiej „pseudo-prozaicznej” typografji).

Ta epika i gawęda starych poetów także i dlatego nadawałyby się przedewszystkiem do takiego masowego wydawnictwa, że powinno ono być arcytanie. Honorarja niepotrzebne, utwory wydane w cienkich, bezpretensjonalnych — byle wyraźnie drukowanych—broszurkach, małego formatu, pod kolorową okładką, z obrazkiem na niej szarym i obliczonym nie na wykwintne, ale na ludowe gusta — (realizm idealizowany, nie żaden pseudoprymitywizm, czy formizm! Patrz stare roczniki „Kłosów", „Wędrowca", rozkosze dla dziecka i prostego człowieka!) — książeczka zbliżona wyglądem do książki straganowej—do Rinaldiniego, Genowefy, Sybilli, na stragany puszczona, może przez studentów-wędrowców w plecakach po wsiach roznoszona i za grosze sprzedawana, nawet przy obecnej biedzie rozeszłaby się krociami tysięcy, jeśli nie miljonami, zasilała wieś olbrzymim dopływem dobrej lektury — i napewno strat nie przyniosłaby wydawcy. A gdyby państwo dopłaciło do tego interesu kilka czy kilkanaście tysięcy—to wydatek byłby błahy, a korzyści duże.

Naturalnie, nie myśli się tu tylko i wyłącznie o książce z poezjami. Powieściopisarze historyczni i ludowi (Kraszewski!), podróżniczy, noweliści — wogóle ci wszyscy, którzy są już w znanej bibljoteczce Uniwersytetów Ludowych np. Benedykt Dybowski i jeszcze inni też musieliby znaleźć się w podobnem wydawnictwie.

Z biegiem czasu i nowe, współczesne pióra mogłyby być powołane, kiedyby już można było pozwolić sobie na honorarja—i kiedyby się znalazły odpowiednie dla ludowego czytelnika talenty — a znalazłyby się napewno. Nowi konsumenci—nowa produkcja.

W ten sposób (wolno spodziewać się) bez nowych przymusowych ciężarów, masa ludowa zdołałaby opłacić dostarczoną sobie literaturę, a literatura, w szczególnośći poezja, poszłaby w lud.

*

Osobno już i to tylko przy sposobności—zalecam wieczory recytacyjne—dla szerokiej publiczności— zresztą w mieście raczej niż na wsi, więc za bardzo tanim lub bezpłatnym wstępem. Powodzenie zapewnione, ludzie łakną dobrej poezji. Możnaby próbować dawać ze zrozumiałym komentarzem! — najwyższą poezję — np. „Hymny" Kasprowicza — nawet na przedmieściu. Poezja jest poto, żeby ją głosić, nie poto, żeby spała snem papierowym, czekając na rzadkiego amatora, którz ją obudzi.

Jest wspaniała poezja—a iluż o niej wie, korzysta z niej?! Tylko, kto dziś umie dobrze deklamować i zgoła czytać?.. Szkoła recytację nieomal zupełnie zaniedbuje. Ktoby organizował bezpłatne albo tanie kursy dobrego czytania na głos — dla żadnego innego celu, jak dla zabawy!—tenby się dobrze zasłużył w służbie poezji—w służbie człowieka i ojczyzny, a nawet religji. Bo poezja szłaby w masę, drżała w powietrzu i w sercach, co jest jej dolegliwem pragnieniem; ojczyznę kocha się także i z wdzięczności za piękno, którem soczysto nabrzmiała mowa ojczysta poetycka; człowiekowi należy się luksus wzruszeń niepraktycznych, co go przywracają jego uciśnionym przez byt socjalny i ciasne życie, najlotniejszym i najosobistszym chceniom. (A religji co po ludziach, którym się nie chce latać?..)

Dla rozmaitych przewrotowców i etatystów totalitarnych poezja jest tyle warta ile służy polityce, o ile jest potężnym instrumentem propagandy. Ludzie wolni, personaliści, konserwatyści kultury, nie lekceważą sobie tej możliwości poezji; ale dla nich w istocie nie celem poezji jest polityka, tylko celem polityki — poezja. Celem łodygi—kwiat, wyzwolony hymn rośliny, celem wszystkiego co interesowne—coś już bezinteresownego... Niech więc poezja idzie w masę—bez żadnej myśli ubocznej, utylitarnej, politycznej, partyjnej—tylko dla pięknej zabawy.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

U ŹRÓDEŁ „PUSZCZY"

W TWÓRCZOŚCI Józefa Weyssenhoffa trąbka myśliwska dźwięczy czysto i silnie: przypomnijmy sobie dworskie polowania u księcia Zbaraskiego, w „Sprawie Dołęgi", cykl całorocznych łowów w „Sobolu i pannie", litewskie myśliwstwo w „Unji", i koronę tego — zaiste przebogatego — repertuaru, świadczącego o wielkiej praktyce łowieckiej autora, królewskie polowanie na głuszca w „Puszczy" (1915 r. — „Kur. Warsz.", 1914), gdzie trudne podchodzenie tego arcyostrożnego ptaka ma w sobie, prócz czysto sportowych emocyj, całą tęgość nastroju, płynącego z naturalnych, choć niecodziennych podniet. W atmosferze wybitnie myśliwskiej, w świecie żywych, autentycznych postaci z litewskiego czy białoruskiego boru, w świetle dziennem ukazanych, nieostatnie miejsce zajmują sylwetki starych „gajusów", strzelców dworskich czy wreszcie, w ustawicznej z nimi wojnie podjazdowej żyjących, kłusowników. Ludzie ci — mam na myśli przedewszystkiem starego raubszyca z „Sobola i panny", zdradzieckiego Łaukinisa, układnego Jurka Leytana i mistrzowsko „zasadzającego" głuszce, strzelca Moroza z „Puszczy" — przypominają nam Fałatowskich myśliwców, brodatych, wpół dzikich leśników i t. p. Postać Moroza uderzała mnie zawsze swą prawdą życiową, narzucającą przeświadczenie, że to figura na drodze bezpośredniej obserwacji — z zachowaniem właściwego miana— kartki powieści przeniesiona.

Nie ma się tutaj — w mem przekonaniu — do czynienia z artystyczną transpozycją obserwacyj malarskich na język, łatwy i zrozumiały dla czytelnika, spragnionego „kulturalnych" wrażeń; trudno również mówić o innem niż odtwórcze działaniu wyobraźni autora w momencie, gdy przesunęła mu się przed oczyma — jako przedmiot pamięci,—sylwetka starego myśliwca.

Powyższe uwagi tyczą się malarskiego ujęcia tej postaci, które w ogólnym artystycznym kształcie nie może zadowolić się fotograficzną dokładnością, ale już z natury procesu tworzenia urasta do rozmiarów poetyckiego symbolu.

Byłoby ciekawem przypomnieć teraz słowa Weyssenhoffa, wypowiedziane na ten temat w utworze, będącym *sui generis* spowiedzią literacką, pełnym subtelnych zwierzeń i wspomnień poetyckich — mam na myśli „Mój pamiętnik literacki" (1926 r., u Św. Wojc.).

Oto, co pisze autor „Puszczy":

„Stary strzelec Moroz jest oryginalny, bo wszyscy ludzie leśni są oryginałami. Zrobiłem takich kilku w „Puszczy" (Szlaha, Halimon, Babaryka i t. d.) Ale Moroz, fizycznie portretowany ze znanego mi strzelca, otrzymał w mojej powieści całe posłannictwo, jako duch opiekuńczy Turowicz, duży sens symboliczny i legendarny, zupełnie inną duszę, niż realny Moroz, starszy strzelec u pp. Kieniewiczów w Brynlowie, który okazał się później wcale nie przyjacielem swych chlebodawców a i odrazu wyglądał mi na podejrzanego wygę. Był jednak w swych pozorach, talentach i wyrażeniach tak malowniczy i tak dla puszczy charakterystyczny, że musiałem go użyć do powieści, przemalowawszy mu tylko duszę". (Rozdz. VII, str. 90—91).

W świetle tych wyznań rodowód Moroza staje się jasny i niewątpliwy, choć dla tem pełniejszego i bardziej wszechstronnego oświetlenia rysunku postaci, dla głębszego wniknięcia w atmosferę uczuciową i tło pejzażowe „Puszczy" byłoby nader ważne rzeczywistość, oglądaną oczyma autora, poznać z relacji świadka nieuprzedzonego, nie obarczonego ową pośredniością odczuwania, właściwą dla psychiki artysty, która ma zorganizowany aparat wyobraźni do rozporządzenia.

Mówiąc językiem prozy, wydaje mi się wskazanem zilustrować słowa Weyssenhoffa, czerpiąc z myśliwskich opowiadań nie zawodowego pisarza lecz przygodnej w gruncie rzeczy autorki.

Przyszło mi to mianowicie na myśl po przeczytaniu w starym roczniku „Łowca" [1]) dwu fejletonów myśliwskich: „Kartka z pamiętnika sportsmenki" i „Mój pierwszy głuszec". Wrażenia sportsmenki—pióra p. Leli Kieniewicz. Przecież Moroz, opisując sąsiedztwo, w rozmowie ze swym panem, Edwardem Kotowiczem, powiada z dumą:

„Kieniewicze w Dereszewiczach i Brynlowie osobną drogę żelazną dla siebie w puszczy położyli..." („Puszcza", str. 86—87).

Pierwszy fejleton — „Kartka z pamiętnika sportsmenki" jest epizodem, wyjętym z dziennika osobistego młodej mężatki, zanotowanym pod datą 5 stycznia 1890 r., jako „Polowanie na niedźwiedzia".

Rzecz dzieje się wśród dzikich, poleskich puszcz, o których nasza autorka mówi:

„Tu, w tym kraju panuje niebywała cisza i spokój' człowiek może się oddawać bez przeszkody kontemplacji' wszystko go do tego wzywa, powołuje, począwszy od zwartych, sosnowych lasów, niby nawy jakiejś olbrzymiej świątyni, z wiecznie szepczącemi pacierze wachlarzami, a kończąc na miękkich kobiercach z igliwia i mchu, przytłumiających odgłos ludzkich kroków" (str. 196—197).

Opowiadanie koncentruje się około polowania na niedźwiedzia, w którem i autorka, sporstmenka, jak sama o sobie pisze — w ówczesnem oczywiście rozumieniu — pragnęła wziąć udział. Obawiała się jednak opozycji ze strony teścia, wyznającego dawne, myśliwskie przesądy *ex re* oczywistego *fiasca* polowań, odbywanych choćby tylko w asystencji niewiast. I tutaj znów cytat:

„Ale jeszcze bardziej się lękałam opozycji ze strony strzelca Moroza i, jak się później okazało, moje obawy co do zezwolenia tego ostatniego nie okazały się płonnemi. Popatrzał na mnie bystremi swemi oczami, w głowę się poskrobał i rzekł. — *Jej Bohu! nie da się upiekli na palcu miaso pani niedźwiedzia*—a następnie dodał—*Nawerno nie uda się polowanie, jeśli pani z nami pojedzie*" (str. 197).

Dziwnie znajomy wydaje się ten Moroz z opowiadania p. Kieniewiczowej — tak bardzo przypomina swego imiennika z „Puszczy". Sylwetka starego strzelca ukazuje się raz jeszcze, gdy

„rozwścieczony niedźwiedź zaczął szarżować. Ogarnął mnie taki niewypowiedziany strach"— mówi o sobie autorka —„że pomimo ciężkiego, myśliwskiego stroju, siedmiomilowych butów, strzelby, którą miałam na plecach, jęłam zmykać w kierunku mego sąsiada z całą siłą, krzycząc: — Moroz, ratuj! Moroz, ratuj! — uchwyciłam gorączkowo jego świtę i wtenczas dopiero się uspokoiłam, kiedy mnie zapewniono, że niebezpieczeństwo minęło, i że zwierz, ciężko ranny, uszedł bokiem" (str. 198).

I znowu stary strzelec nie wychodzi z biernej coprawda roli pańskiego adjutanta, ostatniej ucieczki w chwili niebezpieczeństwa.

W drugiem opowiadaniu myśliwskiem, p. t. „Mój pierwszy głuszec" (Nr. 14 z dn. 16 lipca 1909 r.), maluje autorka pejzaż, podobny do tego, jaki oglądamy oczami Weyssenhoffa w „Puszczy"; nazwy miejscowości również mówią, że znajdujemy się w tej samej okolicy:

„gdy przybył do nas jeden tylko nowy myśliwy *„un habitué de Bryntów"* ułożyłam nową wycieczkę do lasu. W noc ciepłą i jasną wybraliśmy się na głuszce. Księżyc rumiany i czerstwy przeświecał poprzez lasu gęstwinę. Miejscowość niedaleka, gdyż położona o trzy wiorsty (ten sam Humaniec, gdzieśmy uprzednio polowali bez skutku); zatrzymaliśmy się przy rozpalonem ognisku, ponad samą drogą, oczekując brzasku. Mówiliśmy półgłosem, gdyż osadzony głuszec niedaleko od tego miejsca się znajdował; gdy się trochę rozwidniło, mąż mój dał znak do powstania. Skierowaliśmy kroki nasze w stronę, którą nam wskazał ręką gajowy. Stąpaliśmy ostrożnie, unikając gałęzi, kamieni, gdyż najmniejsza nieuwaga mogła ptaka spłoszyć. Ranek zapowiadał się cudny, świeżość wiosenna przepełniała powietrze, miły chłodek bił od lasów żywicznych i wilgotnej ziemi. Niebawem usłyszeliśmy kłapanie głuszcza, ale jeszcze niewyraźne, słabe, urywane, a takie metaliczne na tle innych ptasich psalmodyj: przeraźliwego krzyku żórawi, beczenia bekasów, kukania kukułki, chrapania słonki. Coś dziewiczego było w otaczającym nas krajobrazie, niebo przeczyste, wlokące się przy samej ziemi zasłony tajemnicze... welony utkane z mgieł porannych... zieleń pachnąca... Dostawszy się na czystą polankę, za którą rozpoczynał się gęsty bór, niby ciemna, frendzlowata kotara, daliśmy znać gajowemu, ażeby w tyle pozostał. On nam tylko szepnął:—Tam w samym rożku siedzi.—Z punktu zaczęliśmy skakać, ale z wielkiemi przerwami, bo ostrożny głuszec zatrzymywał się co chwila, jak gdyby chciał nadsłuchiwać" (str. 218—219).

Gdy wreszcie p. Kieniewiczowej udało się zastrzelić głuszca, powiesiła go na widocznem miejscu z karteczką, obwieszczającą, kto jest szczęśliwym zdobywcą cennego łupu.

Czytamy znów:

„Na żyłkę myśliwską pań nasz gość dość sceptycznie się zapatrywał i nie posądzał mnie o możność skakania do głuszca. Gdy nadjechał wraz ze strzelcem Morozem, biała kartka odrazu mu się w oczy rzuciła i słyszałam, jak mówił do strzelca: — Czy wiesz? To pani zabiła tego głuszcal — Moroz poskrobał się w głowę, jak gdyby nie dowierzał". (str. 219).

Streszczone na tem miejscu, opowiadania p. Kieniewiczowej wprowadzają nas wgłąb „Puszczy" i ukazują — choć kilkoma rysami — prawdziwego tym razem Moroza. Inna rzecz, czy spojrzenie człowieka zwyczajnego ma przewagę nad analogicznem postrzeganiem artysty, jeśli chodzi o autentyczność przedstawienia widzianego przedmiotu — lub raczej, która autentyczność ma pełniejsze prawo do tej zaszczytnej nazwy, mającej znaczenie nietylko policyjnego dowodu tożsamości.

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

([1] „Łowiec Polski", dwutygodnik ilustrowany, rok istnienia XI, rok 1909, n-ry 13 i 14, z 1 i 16 lipca 1909 r., str. 196—197 i 218—219.

NA WIDOWNI

Konflikt filologa z krytykiem literackim. — Trochę o sadyzmie, o naukowości i intuicjonizmie. — Czy kongenjalność musi wyłączać objektywizm. — A słonia pan widział? — Czy istnieje jaka nauka poza filologją? — O potrzebie psychologji i o duszy wygnanej z seminarjum.

SPOTKAŁ mnie spory zaszczyt ze strony p. Stanisława Cywińskiego, znanego historyka literatury z Wilna i cenionego w naszem piśmie współpracownika, napisał bowiem o mojej pracy p. t. „Norwid" recenzję w postaci całej książki. Tytuł jej: „O gwiaździsty djament Norwida". Autor odmawia słuszności wszystkiemu, co o Norwidzie napisałem, odmawia mi prawa pisania o nim, potępia moją metodę jako nienaukową, odmawia mi rozsądku i uczciwości, zestawia mnie z prof. J. Tretiakiem, który jakoby znęcał się nad Słowackim, przypisując i jemu i mnie pobudki sadystyczne... Ale czyż to nie sadyzm takie znęcanie się nademną na 80 stronach, zawierających około 4.000 wierszy! Ile wierszy, tyle ciągów i to z jakiemi katuszami połączonych!

Aby ciosy były tem dotkliwsze, prof. Cywiński zaskoczył mnie w negliżu. Nie czekając na książkę, za przedmiot krytyki wziął pierwodruki rozdziałów, które niebacznie ogłaszałem różnemi czasy w „Myśli Narodowej", niewykończone i niepowiązane w całość. W książce je uzupełniłem nowemi rozdziałami i sharmonizowałem. Ale p. Cywiński nie czekał, pomimo że w czasie druku swojej książki miał już w ręku moją i w przypisku końcowym musiał przyznać, że w książce jest inaczej, niż w artykułach. Ale stało się, co mi wrzepił, to już moje, a satysfakcję miał wielką. Jaki rafinowany sadyzm!

Ale to nie wszystko. Bojąc się, że mogę w książce to i owo zmienić, zapewnia czytelnika na wszelki wypadek, że wszystko, coby w książce mojej wypadło lepiej, niż on przedstawia, będzie nie moją, ale jego zasługą, bo on mi listownie dawał korepetycje, poprawiając błędy czerwonym atramentem. I to wszystko na to, żeby w końcowym przypisku stwierdzić, że z nauk jego nie skorzystałem.

Drąc w ten sposób ze mnie pasy, krytyk wileński posypywał rany pieprzem; ani mniej, ani więcej — sięgnął do moich listów prywatnych, w których wymigiwałem się od seminaryjnych korepetycyj. „*Tu l'as voulu*"! — dodaje z sadystyczną satysfakcją. Istotnie, dałem zezwolenie na przedruk listów, bo nie mogłem odmówić, widząc, jaką to krytykowi przyjemność sprawi, zresztą nie wierzyłem, żeby uznał to za... potrzebne.

Prof. Cywiński mniemał, że zdobył wielki atut w wyznaniu, które w liście uczyniłem: „Pan mnie przecenia" — pisałem do niego. — „Zestawia mnie Pan z regularnymi pracownikami na niwie historji literatury, a ja jestem tylko kłusownikiem. Mogę pisać o swoich przeżyciach literackich w zakresie, który dopadkami zdobyłem"... Bez sięgania do listów każdy o tem wie, że nie jestem zawodowym historykiem literatury. Przedmiotem mojej zazdrości byli zawsze ludzie, mający możność spokojnego oddawania się studjom w bibljotekach, na co ja nie miałem (oprócz paru lat) wolnego czasu. Nie słuchałem nigdy wykładów literatury, nie uczyłem się nawet gramatyki polskiej. Inne były moje czasy, inny zawód. Mam też wiele respektu dla pracowników regularnych w filologji i nawet szczerze w reweransie towarzyskim przyznawałem przewagę swemu szanownemu adwersarzowi. Nie wiedziałem jednak, że daję w ten sposób dokument do ręki historykowi literatury, biorącemu dokumenty zbyt literalnie, bez wnikania w ich psychikę.

Oczywiście p. Cywiński może mnie uważać za nowicjusza w „norwidologji", on bowiem pracuje nad Norwidem od 25 lat, napisał o nim kilkadziesiąt prac drobniejszych i większych, wygłosił o nim szereg odczytów publicznych, na uniwersytecie zaś — jak sam pisze — wygłosił 136 wykładów o Norwidzie. Ja miałem przez ten czas co innego do roboty, zacząłem czytać tego poetę dopiero przed kilku laty — i to za namową p. Cywińskiego. To prawda, ale znowu nie jest tak źle ze mną, jak p. Cywińskiemu się wydaje. Przemawia za mną dość ważna okoliczność, że mogłem spojrzeć na Norwida świeżem wejrzeniem, mając materjał przez innych od lat 25 gromadzony. P. Cywiński pod tym względem jest w daleko gorszem położeniu, bo z Norwidem się zidentyfikował i nie może już mieć na niego poglądu objektywnego. Doszedł nawet do wniosku, którym mnie usiłuje dobić, że Norwid

„więcej, niż którykolwiek inny poeta i artysta wymaga [od krytyka] współdźwięczności i tylko zasadnicze podobieństwo duchowe i pojęciowe... daje nam klucz do skarbnicy jego twórczości" (str. 71).

Gdyby to było prawdą, to taki wypadek zapewniałby w stosunku do Norwida wyłączność p. Cywińskiemu. On się kongenjalnie z nim utożsamił przez owych 25 lat. Wypadł ze stanowiska obserwatorskiego i w Norwidzie utonął. Stał się jego wyznawcą i propagatorem, wziął go na swoją osobistą odpowiedzialność. Norwid — to ja — może o sobie powiedzieć. Nastąpiło zjawisko zupełnej koncentryczności i współdźwięczności. Zginął w Norwidzie bez możności odzyskania dystansu krytycznego.

Żeby ten stan bierny osiągnąć, prof. Cywiński usunąć musiał na bok Norwida artystę i zjednoczyć się z myślicielem. Ale nie było to łatwe, Norwid bowiem brał rzeczy na pióro jako artysta i popełniał wiele sprzeczności, systemu nie miał. P. Cywiński usłał sobie gniazdo w Norwidzie w tej partji jego poglądów, która go pociągała swoją katolickością; tu zaszedł moment owej współdźwięczności, a dalsza praca polegała na tem, jakby resztę dziedzin Norwidowych, bardzo rozległą, od tamtej dziedziny uzależnić, jakoś wytłumaczyć, w jakiś system ułożyć. Na tem zeszło 25 lat, ale pytanie: czy to obecnie jest Norwid — czy Cywiński? To już nie jest Norwid realny, który kiedyś żył i tworzył. Prof. Cywiński dzisiaj sprawę Norwida bierze do siebie wprost. Każde dotknięcie się analityczne do Norwida uważa za dotknięcie swojej osoby; jeśli ono wypada ujemnie, obraża się osobiście, dochodzi do najwyższego rozdrażnienia, rzuca się na człowieka, obrzuca go impertynencjami, protestuje.

Gdzież się podział sam Norwid? Przypomina się bajka Kryłowa o tym panu, opowiadającym cuda o swej bytności w „*kunst-kamerze*": ile to muszek widział, robaczków! Cały dzień tam siedział. „A słonia pan widział"? — pytają go. „Sło-

nia nie zauważyłem"... P. Cywiński nie usiłuje wyobrazić sobie postaci Norwida żywego; wszelki rys ludzki w jego realnej postaci, przez kogoś zaznaczony, doprowadza go do irytacji. Jego słuchacz czy czytelnik mimowoli wyobrażać sobie musi Norwida jako istnienie odwcielone, w najlepszym razie jako zakonnika pobożnego lub beznamiętnego uczonego. Według p. Cywińskiego „stosunek Norwida do tworzywa poetyckiego jest nieledwie taki sam, jaki bywa u uczonego" (71). Wobec tego osobistość poety z jego namiętnościami, z historją jego dni, jako klucz do jego duszy jest niepotrzebna. Nic też dziwnego, że nam trudno się porozumieć. Rozprawiamy o dwu rzeczach różnych. Ja robię portret historyczny żywego człowieka, p. Cywiński go zamazuje, aby mu nic nie przeszkadzało układać myśli Norwida w dowolny deseń. Norwid samby się nie rozpoznał w tem, co p. Cywiński z niego wysnuł.

Prof. Cywiński przytacza (76) z mojego listu, do niego pisanego, takie zdanie: „Przez teksty patrzy na mnie zawsze twarz autora, muszę widzieć jego oczy, aby sądzić o jego pisaniu" — i dodaje od siebie: „Stanowisko to jest nietylko zaprzeczeniem krytyki naukowej, ale w dodatku jest wybitnie aspołeczne. Boć przecie koniecznym warunkiem porozumienia się pomiędzy ludźmi jest posługiwanie się takiemi narzędziami poznania, oraz takiemi argumentami, które są dla innych dostępne i które, tak samo zastosowane, dają te same rezultaty". Jednem słowem p. Cywiński przeciwstawia swoją naukową objektywność memu intuicyjnemu subjektywizmowi. Trudno wymyśleć grubsze nieporozumienie. Przecież obaj, choć z różnych stron, bierzemy się do poznania tej samej rzeczy. Nie jest to przedmiot martwy do matematyczno-fizycznego poznawania, lecz utrwalony w druku kawałek duszy ludzkiej. Bez relacji do twórcy nie można tłumaczyć jego pisma. I to właśnie jest objektywna metoda. To nie jest branie rzeczy „na oko", jak sobie wyobraża p. Cywiński, lecz powoływanie twórcy na świadectwo prawdzie, bo on jest miarą swego tworu, nie co innego. Dlatego twórcy są nieśmiertelni, aby zawsze na zawołanie mogli to świadectwo prawdzie dawać. I to jest bardzo społeczne, nawet wymagane przez społeczeństwo, które pragnie obcowania z twórcami, zawsze żyjącymi. Jedyny to sposób objektywizowania badań — i tylko takie badania literackie są naukowe, które ten najtrudniejszy moment poznawania twórczości pokonywają.

P. Cywiński nie ma zdecydowanego poglądu na moje stanowisko jako krytyka. Z jednej strony wypomina mi (i to bez żadnej podstawy w tym wypadku) metodę publicystyczną, tendencje partyjne, zarzuca mi nawet demagogję, że piszę dla ludzi niekompetentnych; a tutaj znowu zarzuca mi antyspołeczność, właściwą indywidualnemu „widzi mi się".

Przeczę wszystkim tym sprzecznym zarzutom. Uważam, że subjektywne, a więc w pewnem znaczeniu niespołeczne, jest zmuszanie czytelnika do wierzenia *in verba magistri*, jak to czyni p. Cywiński, który z pism Norwida uczynił dla siebie modlitewnik. Ja odcinam się od przedmiotu badań nawet ironją, która tak irytuje p. Cywińskiego, ukazując czytelnikowi procesy tworzenia. Czytelnik (społeczeństwo) bierze wskutek tego większy udział w poznawaniu poety; ja mu tylko wskazuję drogę do wnętrza utworu, pozostawiając swobodę w ocenie wartości estetycznych i myślowych. P. Cywiński operuje autorytetem swoich nakazów, co ma być o danej rzeczy myślane i zawsze superlatywnie.

Trudno uznać za objektywne i naukowe założenie, że Norwid jest „poetą oddanym Prawdzie Najwyższej i wychowującym, jak nikt, czytelnika do Jej zrozumienia" (69). Naukowo bowiem niepodobna dojść do tak bezwzględnej pewności w tym zakresie. Wogóle ów terror naukowości, który p. Cywiński szerzy, nie robi na mnie wrażenia. Uważam, że tego terminu „naukowość" filologja pożycza sobie z dziedziny nauk ścisłych i w jej piórka się stroi, aby niemi straszyć krytyka. Weźmy przykład. P. Cywiński odmawia mi tytułu naukowości, że w jednym z początkowych artykułów o Norwidzie wspomniałem, iż ród jego wywodzi się z Białorusi. P. Cywiński utrzymuje, że ze Żmudzi. Wiedzieć, że Norwidowie na Żmudzi niegdyś mieli też ziemię—to jest naukowe. Ale w odniesieniu do Cyprjana Norwida nie o to chodzi, czy przodkowie niegdyś mieli majątki ziemskie, tylko o to, czy normalna była psychika proletarjusza warszawskiego z r. 1840, odgrywającego rolę „książątka". Tutaj więcej potrzeba „naukowości", żeby tę skłonność do urojeń i do snobizmu wyjaśnić psychologicznie jako właściwość natury pisarza i pokazać, jak ta właściwość przejawiała się w twórczości.

Prof. Cywiński ten najważniejszy moment psychologiczny badań usuwa poza obręb naukowości, nazywając pogardliwie wglądanie w tę dziedzinę—intuicjonizmem. I tu leży sedno nieporozumień. Nie można jednak przy badaniu indywidualnem osobistości gardzić tym najważniejszym środkiem poznania czyjejś duszy, którym przecież nie gardzimy w życiu potocznem przy zawieraniu stosunków. Jest to sprawa nie jakiegoś mistycznego intuicjonizmu, lecz poprostu zdrowego rozsądku, nabytego w doświadczeniu życiowem. Życie psychiczne nie jest tak schematyczne, jak p. Cywiński przedstawia. Weźmy jego schemat co do Norwida: katolik czy metafizyk szkoły heglowskiej? P. Cywiński nie pozwala myśleć inaczej Norwidowi, tylko po katolicku, wiele zachodu go kosztuje, żeby wszystko to, coby w jego poezji temu przeczyło, schować. To nie jest naukowe. Wyraźnie przecież zaznaczyłem, że Norwid był katolikiem z urodzenia, wychowania i z potrzeby serca. Ale cóż na to poradzić, że wyobraźnia poetycka chłonęła inne motywy z ducha czasu nawiane. A że one były sprzeczne z nauką katolicką, o tem młody, niedokształcony umysł Norwida nawet nie wiedział. Eklektykiem był mimowolnym, jak tylu w Polsce. Katolicyzm Norwida świadomy jest zjawiskiem późniejszem. Ja rozpatrywałem jego młodość.

Potrzeba mieć trochę znajomości duszy ludzkiej—żeby rozpoznać w poecie to, co jest w nim bezwiedne a silniejsze od myśli i woli, to, co leży w impresjonistycznym jego stosunku do świata, co wreszcie jest jego zboczeniem psychicznem. Tej umiejętności nie nauczy żadne seminarjum filologiczne, ani praca w bibljotece. Byłbym rad, gdyby p. Cywiński zaliczył mi łaskawie do studjów seminaryjnych moje 40 lat pracy redaktorskiej, w której dane mi było pracować z pisarzami w całej skali talentów od najmłodszych do najbardziej wytrawnych i dzielić z nimi wszystkie bóle i radości tworzenia. Jest to dobra dla kryty-

ka szkoła, osobna gałąź wiedzy o twórczości, niedostępna dla seminarzystów. Książka jest cierpliwa, papier cierpliwy, słuchacz w ławce szkolnej cierpliwy, ale wszystko to razem jest nieme. Nic nie przeszkadza pracownikowi w tem środowisku tworzyć konstrukcyj, nie mających wiele wspólnego z życiem duszy twórczej.

W zatargu, który się zdarzył między mną a prof. Cywińskim, nie widzę nic osobistego, cobym mógł wziąć do serca, jako obrazę. Cenię nawet w przeciwniku jego wojowniczość w obronie swej naukowości wykazaną. Dla tego i w listach, które on cytuje, kierowałem się wyrozumiałością, wiedząc, że go ani na jotę (ani na komę) nie przekonam. Zrozumiałem Norwida, potrafię zrozumieć i jego. Widzę natomiast w tem zdarzeniu typowy konflikt filologji z krytyką literacką—konflikt o duszę wygnaną z seminarjum.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

CIEKAWYM PRZYCZYNKIEM, jak Niemcy pojmują zbliżenie z Polską, jest książeczka p. t. „*Der deutsch - polnische Ausgleich*", której autorem jest E. Freiherr von Reibnitz, doniedawna jeszcze zagorzały wróg Polski. Była ona napisana tuż przed zawarciem paktu o nieagresji między Polską a Niemcami, obecnie ukazało się jej drugie powiększone wydanie. Autor zaczyna od wywodów historycznych, twierdząc, że w ciągu dziejów Polska i Niemcy żyły raczej w zgodzie, przerywanej tylko „rzadko" przez walki. Tak! W wieki trwającej zgodzie, a nawet więcej, bo w dziewiętnastym wieku zostały związane ze sobą braterstwem broni. W jaki sposób? Oto w czasie wojen, prowadzonych przez Niemcy w r. 1866 i 1870/71, setki tysięcy Polaków poległo, walcząc pod sztandarami niemieckiemi. Ale Niemcy potrafili się za to odwdzięczyć, bo „w czasie Wielkiej Wojny przeszło 400,000 niemieckich żołnierzy poległo w walce przeciwko panowaniu carów na ziemi polskiej!"

Czyż nie wzruszające dowody miłości i braterstwa? Wprawdzie zaraz na następnej stronie dowiadujemy się, że Niemcy nie mieli zamiaru oddawać Polsce ziem b. zaboru pruskiego, ale to przecież drobnostka. Dopiero pokój wersalski popsuł wszystko i skłócił dwa bratnie narody. Leżało to w interesie Francji. Ale też, zdaniem autora, związek Polski z Francją nie jest oparty tak, jak Polski z Niemcami, na wspólności rasowej, sąsiedztwie, łączności interesów gospodarczych i braterstwie broni.

Po tak przekonywającym wstępie historycznym, następują dwa rozdziały o stosunkach gospodarczych, a potem o konieczności wspólnej polityki zagranicznej. Ekspansja obu państw bowiem powinna iść w kierunku wschodnim i południowowschodnim „w kierunku Morza Czarnego"(!)

Pretensje nacjonalistów polskich do obszarów o większości polskiej, a należących do Niemiec, są—zdaniem autora—niesłuszne, gdyż prowadzą do wojny; a przytem, stawiając tak sprawę, Niemcy powinniby rościć pretensje do niemieckiej części Szwajcarji i do Austrji, a Francja, wobec wspólnoty językowej, do po francusku mówiącej części Belgji itp. Coprawda Niemcy roszczą właśnie pretensje do przyłączenia ziem etnograficznie niemieckich, np. Austrji, argument autora przemawiałby więc raczej na niekorzyść wysuwanej przez niego tezy...

Natomiast w sprawie t. zw. „korytarza wiślanego" uważa p. von Reibnitz, iż słuszną wprawdzie jest myśl dostępu Polski do morza, ale niekoniecznie przecież trzeba oddawać Polsce brzeg morski w posiadanie. Jeśli chodzi o ułatwienie transportu wodnego, to można tę rzecz załatwić o wiele lepiej, nie rozcinając państwa niemieckiego i nie dając wiecznego powodu do sporów, grożących wojną. Należałoby więc stworzyć wspólnotę wybrzeża morskiego, aby Polsce dać możność transportu, a jednocześnie zaspokoić interes niemiecki, podobnie jak się rzecz ma przy ujściu Renu, gdzie współżycie niemiecko-holenderskie jest idealne.

Niemcy, jak widać, wtedy nawet, gdy ożywieni są słusznem dążeniem do pokojowego i przyjaznego z Polską współżycia, dają dobrym chęciom wyraz w sposób, który w Polaku jako pierwszą, odruchową reakcję raz po raz wywoływać musi niestety... uśmiech politowania.

„WIADOMOŚCI LITERACKIE" weszły ostatniemi czasy w okres wyraźnych niepowodzeń i kompromitacyj. Ufne w poparcie sfer „decydujących" i sądząc, iż są wciąż jeszcze wyrazem najświeższych poglądów, wpakowały się aroganckim artykułem Uniłowskiego w ostry zatarg z kołami wojskowemi, który im sprawił wiele kłopotu. Niedługo potem wyrwano im monopol na pewien typ „pisma literackiego", stworzeniem nowego tygodnika o nakładzie jeśli nie większym od nich, to z całą pewnością równym. Rozwiał się mit, jakoby w Polsce nikt poza nimi nie był w możności zorganizować i poprowadzić tego rodzaju perjodyku. Wreszcie ostatnia impreza z „akademją niezależnych" rozwiała docna inny znowu mit, każący wierzyć, iż „Wiadomości" są czytane przez e l i t ę i n t e l i g e n t n ą Polski.

Aż śmiech bierze, gdy się zestawi to ostatnie twierdzenie z odpowiedziami na rozpisaną ankietę w sprawie „niezależnych". Okazuje się, iż czytelnicy „Wiadomości" nie wychylają nosa poza atmosferę swojego tygodnika, nie mając nawet pojęcia o tem, co się dzieje poza światkiem kramiku z placu Saskiego. Dla nich wciąż największym poetą jest Tuwim, zgodnie z modą chwilową, a jakże już przestarzałą, lansowaną przed dziesięciu zgórą laty przez sezonowy „Skamander"...

Na drugiem miejscu nazwisko feljetonisty, najczęściej, bo regularnie w każdym numerze wbijające się w oczy i pamięć. Wystarczy błysnąć (byle również często) wierszykiem, by otrzymać urojony fotel (Jasnorzewska) i t. d. i t. d.

Ale co najważniejsze, głosowanie jeszcze raz i w sposób dosadny wykazało, iż „Wiadomości" nie są pismem polskiem, chociaż są drukowane w naszym języku. Umieszczenie bowiem na dwu pierwszych miejscach żydów — mówi bardzo wiele.

Wszystko to razem zebrane stawia „Wiadomości Literackie" pod zarzutem dla nich najboleśniejszym, zarzutem, który same zawsze rade innym wytykały — najpospolitszego, typowo burżujskosklepikarskiego (wiadomo przecież, z jakiej narodowości ta sfera u nas do dzisiaj się rekrutuje)... k o ł t u ń s t w a.

WYSTAWA MICKIEWICZOWSKA

WYSTAWA Mickiewiczowska, którą Bibljoteka Narodowa otworzyła 19 stycznia b. r., zorganizowana była już w roku zeszłym dla uczestników międzynarodowego kongresu Slawistów. Miała ona upamiętnić setną rocznicę ukazania się „Pana Tadeusza" i podkreślić rolę Mickiewicza, jako profesora literatury słowiańskiej.

W roku zeszłym tedy obejrzeli już tę wystawę uczeni specjaliści i mieli okazję do wypowiedzenia o niej swych kompetentnych zdań. Teraz przychodzi kolej raczej na laików i dlatego pozwalam sobie wypowiedzieć parę słów o tej wystawie.

Co przedewszystkiem uderza — to wielkość wystawy. W dziewięciu salach zgromadzono tu ogromną ilość eksponatów — całe obszerne archiwum, bibljoteka i kolekcja ilustracyj, rozłożone są gęsto w gablotach. Trudnoby się zorjentować w tem mnóstwie rękopisów, książek i t. d., gdyby nie wzorowy porządek wystawy, z którym zapoznaje dokładnie, drukowane objaśnienie, rozdawane przy wejściu.

Wystawa przedstawia dzieje twórczości, działań i życia Mickiewicza w jego rękopisach i książkach, pokazuje jego współczesnych i jego związki z nimi, kult dla niego u współczesnych i potomnych, prace naukowe o nim i wpływ jego osobowości na życie Polski i zagranicy. Każdy okres życia Mickiewicza jest tu pokazany i udokumentowany.

Każdy przeciętny Polak zna życie i dzieła Mickiewicza, być może nawet lepiej, niż przeciętny Anglik czy Niemiec życie Byrona i Goethe'go. Wiedza o nim doniedawna jeszcze była żywą wiedzą, wyniesioną z tradycji i codziennej narodowej tęsknoty. Dzisiaj zaczyna się potrosze stawać wiedzą szkolną i rutynistyczną. Wystawa daje możność zerwania schematyzmu tej wiedzy i wejścia w bardziej osobisty kontakt z poetą. Najlepsze nawet dzieło o człowieku podaje tylko racjonalne informacje o nim, zamknięte w formuły i skróty. Nie może dać obrazu bezpośredniego i obejmującego nietylko stosunki. To może dać tylko rękopis, współczesna ilustracja, portrety współczesnych autorowi, książki, któremi się autor otaczał i t. d. Rękopis ma tę przewagę nad drukowaną kopją, że daje stosunek naoczny, nietylko racjonalny. Pozwala z kształtu liter, układu kolumny pisma, rodzaju skreśleń i t. d. odczytać chociaż ślady tej irracjonalnej części osobowości człowieka, która wymyka się z rozumowych sformułowań, a daje się poznać tylko przez obcowanie. Druk bezosobowością sprawia, że postać autora traci w oczach czytelnika pozory realności, usuwa się niejako w dziedzinę legendy. Autograf daje poczucie pewności, że ten człowiek istotnie był. To są zapewne przyczyny, dla których z taką ciekawością patrzy się na autografy nieżyjących, tu zapewne kryje się tajemnica pamiątki. Pozwala ona rozerwać płaszczyznę teraźniejszości i otwiera widok na głąb minionego czasu.

Wystawę mickiewiczowską zwiedza się z podobnem uczuciem, jak to, które powstaje przy oglądaniu pamiątek rodzinnych. Świadczy to o tem, jak bardzo Mickiewicz wrósł w życie Polski, jak bardzo po mickiewiczowsku nauczył nas widzieć rzeczy, jak sam się stał częścią Polski i przedmiotem patrjotyzmu. Co tu obwijać w bawełnę — z dużem wzruszeniem patrzy się na takie fragmenty jak, powiedzmy, obrazy z Soplicowa. („Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma podniesionemi miecz oburącz trzyma,... ówdzie Rejtan"...), na portrety gości soplicowskich z r. 1812, czy choćby na ów egzemplarz „Kucharza Doskonałego", otwarty na przepisie, zdradzającym sekret owej ryby, co to:

> „...niekrojona,
> U głowy przysmarzona, we środku pieczona,
> A mająca potrawkę z sosem u ogona!"

Laik nie czuje się tu zażenowany wobec dokumentów i gotówby się kłócić o swoje prawo wypowiadania się o tem, co widzi. Świadczy to o tem, że „Pan Tadeusz" nietylko jest dziełem literatury, ale pewną realnością.

Na wystawie widać całą epokę. Widać tę Polskę, która była ponadformalna, którą, dzięki owoczesnym ludziom znaleźć można poza obrębem naszych granic, nawet:

> „...aż kędy pieprz rośnie,
> Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie
> Pachnące kwitną lasy..."

Są to bowiem czasy, które wyabstrahowały pojęcie Ojczyzny i uczyniły zeń byt ponadmaterjalny. Tym czasom zawdzięczamy to pojęcie, będące naszym wyłącznie dorobkiem kulturalnym, w specjalny sposób zabarwiającym nasz stosunek do ojczyzny. Wystawa zaś pokazuje trjumf Polski pozaformalnej, prawie niematerjalnej. Było to przecież czasy niewoli i wygnania. Pomagają one zrozumieć, że forma nie jest w życiu narodu wszystkiem.

Wystawa dotyczy czasów, w których nie mieliśmy Akademji Literatury, ani planowej „polityki kulturowej" — a oto jakaż imponująca literatura, jaki wpływ Polski w życiu narodów, widoczny choćby w niezliczonych egzemplarzach tłumaczeń dzieł Mickiewicza na wielką ilość języków.

Zdarzyło się, że razem ze mną zwiedzał wystawę p. akademik Leśmian. Postać jego, jako jeden z filarów podtrzymujących ten ogrom dziedzictwa, nie budziła poczucia statyki i równowagi — mimo, że przecież nie co innego powołało go na to stanowisko, jak prawomocne i formalne zarządzenie.

Czuło się tu jakiś fałsz. Podobny i równie nie polski, jak taki oto fragment z pięknie zresztą drukowanego objaśnienia o wystawie:

> „...liczne ilustracje i druki odnoszą się do Wojny Krymskiej i u d z i a ł u p o e t y w t y m o s t a t n i m j e g o c z y n i e".

J. GR.

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Eugenjusz Żytomirski, autor zbiorku poezyj „Bez w samolocie" (Warszawa, Literacki Instytut Wydawniczy), jest — jak dotąd — przeważnie tylko uczniem, kształcącym się na poetę. Zanadto jeszcze ulega suggestjom różnych szkół i modnych prądów. Już sam wiersz tytułowy — niesłusznie na pierwszy plan wysunięty — jest tego dowo-

dem. Powtarzają się w nim różne *trick*'i, jakieśmy obserwowali u różnych poetów, zwłaszcza krakowskich. Przebrzmiałym już snobizmem trącą niektóre wyrażenia w (niezłym zresztą, niekiedy nawet silnym) „Hymnie do Łodzi"; popisywanie się egzotycznemi nazwami geograficznemi, zwłaszcza nieuchronnym „Bombajem" spotykaliśmy już dziesięć lat temu, najpierw w poezjach futurystów, następnie w utworach Kazimiery Alberti. W wierszach o wielkim mieście, o fabrykach, o betonie, też takie oddźwięki słyszymy; ponadto nieraz powtarzają się tu różne tanie hasła, czy raczej frazesy, jakie czytać można na pierwszym lepszym afiszu propagandowym. To wszystko jeszcze nie wystarcza, żeby być samodzielnym poetą. Samodzielności można się jednakże nieraz doszukać w wierszach Żytomirskiego. Z tego względu na pierwszym planie postawićby należało cykl „Wiśnie w miasteczku" z taką dewizą:

„Zdumiewa nas majestat wielkich fabryk,
W entuzjazm wprawia rzutki aeroplan,
Lecz nie straciły czaru wiotkie chabry,
Kiedy w wieczornej rosy skrzą się kroplach..."

Nieraz męczy poetę miasto, nieraz go boli wandalizm kultury, niszczący ciszę Łazienek, nieraz się w duszy budzą tęskne wspomnienia. Kapitalna jest „Ballada o profesorze", pełna żywego humoru, ciepłego uczucia, a jednocześnie i sarkazmu. Najlepszy to wiersz w całym zbiorku. Jest w nim Żytomirski sobą — pisze o tem, co naprawdę trąciło strunę w jego sercu. To samo tyczy się niektórych wierszy z cyklu „Marysia" (zwłaszcza wiersz tytułowy). Piękne są wiersze poświęcone żonie — pełne subtelnego wczucia się w przedmiot utworu, a przytem szlachetne w swej myśli przewodniej. Forma wyrobiona, melodyjny tok wiersza, czystość polszczyzny są zaletami całego zbiorku. (J. B.)

*

Talent Marji Czerkawskiej, na który niedawno zwracaliśmy uwagę, chodzi naogół własnemi drogami. Niepodobna tej poetki zaliczyć do żadnej ze szkół czy grup poetyckich, które tak często bywają kołami wzajemnej adoracji. Cicha kontemplacja, rozważania własnego ducha lub notowania spostrzeżeń o rzeczach najprostszych — to cechy tej poetki, nie mającej w sobie skłonności do efekciarstwa i reklamy. Cechy te pogłębiły się w zbiorze „Ludzie i liście" (Kraków, nakł. własny) tonami szczerej i wymownej filantropji, przy jednoczesnem subtelnem wniknięciu w dusze ludzi prostych — tych ludzi, którzy rzekomo mają mniej myśli i potrzeb od człowieka wyrafinowanego, inteligenta czy intelektualisty. Wprost wzruszająca jest „Stara historja", gdzie ogrom tłumionej tragedji zawarty jest w *pointe*'cie kilku urywanych słów. Potężny wyraz znalazła tragedja człowieka prostego w „Hangarniku"; jest to utwór niemal na miarę niektórych nowel Reymonta. Życie wsi i ludu wiejskiego Czerkawska i obserwuje i odczuwa trafnie — dowodem tego żywa ballada o „Romankowej". W wierszu „Nie płacz Kasiu" poświęconym Stryjeńskiej — jest już pewna stylizacja literacka, coprawda miejscami uderzająca w ton pieśni ludowej. Wolimy od niego takie utwory, w których poetka mniej się rozprasza w temacie. Doskonały jest wierszyk: „Szpara w parkanie", gdzie niedość, że widzimy scenę żywo podpatrzoną w życiu dzieci, ale mamy też głębszą myśl symboliczną. Śliczny jest obrazek „Syn"—przedstawiający dziecko. które zastępuje matkę w pracy. Nie pierwszy raz stwierdzamy, że pani Czekawska wybornie rozumie psychikę dzieci.

Nie chcemy iść za przykładem niektórych krytyków-komplemencistów, którzy zgóry już otwierają tym lub owym poetom, a zwłaszcza poetkom, kredyt na rachunek dalszych utworów. Choć talent Czerkawskiej wydaje mi się nieprzeciętnym, jednakże prócz nadziei — mam i obawy co do niego. Boję się, by nad obserwacją i uczuciem nie wzięła przewagi retoryka, ciężąca zwłaszcza na końcowych utworach tego ciekawego zbiorku. (J. B.)

TEATR

„*MISS BA*" W TEATRZE NOWYM

WYSTAWIONA obecnie w Teatrze Nowym sześcioodsłonowa sztuka Rudolfa Besier'a pod tytułem „*Miss Ba*" jest bardzo sympatycznym objawem gorącego kultu, jaki pewne koła inteligencji angielskiej żywią po dzień dzisiejszy względem romantycznej pary kochanków-poetów: Roberta Browninga i żony jego Elżbiety, z domu Barret. Robert Browning, spółcześnik Norwida — jest, jak powszechnie wiadomowo, autorem „*Strafforda*", „*Sordella*", „*Blot in the scutcheon*", „*A soul's tragedy*", „*Men and Women*", „*Pippa passes*", „*Dramatis personae*", „*The ring and the book*" etc. Elżbieta Barret-Browning zasłynęła, jako autorka „Serafina", jako tłumaczka „Prometeusza" Ajschylowego, wreszcie jako twórczyni sławnych „Sonetów" miłosnych, przełożonych rzekomo z języka portugalskiego i przypisywanych przez pewien czas, dopóki się mistyfikacja nie wydała, ni mniej ni więcej, tylko samej Katarzynie Aragońskiej.

Otóż Elżbieta Barret i Robert Browning są głównymi bohaterami sztuki p. Rudolfa Besier'a. Autor utwór swój osnuł na wątku biograficznym. Wątek ów pozwolił sobie tu i ówdzie przepleść kilkoma użytecznymi z punktu widzenia teatralnego, ale wyssanemi — zdaje się — z palca, poetyckiemi licencjami. Nietylko, czterdziestoletnią już niemal w chwili poznania Roberta Browninga, Elżbietę Barret znacznie odmłodził, czyniąc z niej młodziutką panienkę, najwyżej dwudziestokilkoletnią, ale w dodatku z ojca jej (despotycznego tyrana, który dorosłych swoje jedenaścioro dzieci trzymał w tak ścisłym rygorze, jakgdyby ciągle były nieletnimi smarkaczami, sprzeciwiając się stale małżeństwu córek i każdemu samodzielnemu krokowi synów) — uczynił — gwoli udramatycznienia akcji — patologiczny typ zboczeńca w rodzaju ojca Beatrix Cenci, rozmiłowanego kazirodczo we własnej córce.

Owe licencje — powtarzam — z punktu widzenia teatralnego mogą się wydawać nader użyteczne, ułatwiają bowiem zadanie aktorom, pozwalając im się efektowniej wygrać. Niezbędne jednak nie są. Utwór p. Besier'a mógłby się doskonale bez nich obyć, nie tracąc ani odrobinę swojej niewątpliwej wartości.

Atrakcyjność jego w Warszawie będzie oczywiście bez porównania mniejsza, niż na gruncie ojczystym, gdzie podobno od bardzo długiego czasu nie schodzi z afisza. Robert i Elżbieta Browningowie są bowiem u nas w Polsce — jako poeci — niestety, nader mało znani. Naprzykład mnie osobiście z całej bogatej ich produkcji literackiej zdarzyło się poznać tylko przekłady kasprowiczowskie jednego sonetu i dwu utworów dramatycznych Roberta Browninga („Pippa przechodzi" i „Na balkonie"), których *notabene* z powodu braku niezbędnego komentarza ani w ząb nie rozumiem, oraz ze trzy „Sonety z portugalskiego" Elżbiety Barret, przetłumaczone przez panią Zuzannę Rabską prozą i to w dodatku — jeżeli się nie mylę — nie z oryginału angielskiego, lecz z tłumaczenia włoskiego.

Nieco większą popularność posiadają w Polsce Browningowie, jako sławna para romantycznych kochanków, a to dzięki przełożonej parę lat temu na nasz język włoskiej książce p. Giorgii Pisani pod tytułem „Jak kochano przed stu laty". Książka ta — coś w rodzaju romansu biograficznego — sporządzona została na podstawie listów Elżbiety Barret-Browning i Roberta Browninga.

Autor „*Miss Ba*", zabierając się do pisania swojej sztuki, sięgnął również przedewszystkiem po tę korespondencję. Listy owe stanowią główną podstawę utworu pana Rudolfa Besier'a. Zrobienie z tego materjału utworu dramatycznego było zadaniem znacznie trudniejszem, niż napisanie romansu biograficznego. P. Rudolf Besier uporał się z trudnościami zwycięsko. Próba przerobienia listów na dramat wypadła nadspodziewanie dobrze. Sztuka jest bardzo zajmująca, pełna niesłabnącego, dramatycznego napięcia przez całe sześć długich odsłon, dająca nader obszerne pole do popisu reżyserowi, dekoratorowi, a przedewszystkiem aktorom.

W wersji polskiej utwór zrealizowany został na scenie w sposób niezupełnie zgodny z oczywistemi intencjami autorskiemi. Elżbieta Barret prosi naprzykład Roberta Browninga o wyjaśnienie pierwszej strofy sonetu pod tytułem „Spotkanie w nocy", której sensu nie rozumie. Widocznie w oryginale angielskim jest w owej strofie coś niejasnego, wyraź-

nego. Browning nie jest w stanie ani rusz tego Elżbiecie wytłumaczyć.

— Kiedy tę strofę pisałem — powiada — dwie istoty wiedziały, co miałem na myśli: Bóg i Robert Browning. Dzisiaj wie to jeden tylko Bóg.

W przekładzie Jana Kasprowicza, w którym strofę ową słyszymy ze sceny, niema absolutnie nic zagadkowego. Wszystko jest jasne, wyraźne, całkowicie zrozumiałe:

„Szara głąb morza, długi ciemny ląd,
Ogromny żółty półksiężyca róg.
Nagły, syczący, nieprzytomny tan
Zbudzonych ze snu kędzierzawych pian".

Zapewne Kasprowicz, tłumacząc ową strofę, uprościł ją, ominął zagadkowe wyrażenie, czy też zastąpił je czemś własnem.

Wskutek tego cały sens sceny zupełnie przepada. Nie możemy pojąć, dlaczego mianowicie inteligentna pani Malicka tak mozolnie suszy śliczną główkę, tak długo się biedzi nad znaczeniem tej strofki i dlaczego pan Damięcki tak beznadziejnie wysila swoją mózgownicę, żeby zrozumieć rzecz, nie wymagającą absolutnie żadnego wyjaśnienia.

Teatr Nowy wystawił „*Miss Ba*" bardzo starannie. Reżyser, p. Zbigniew Ziembiński wypieścił pieczołowicie każdy najdrobniejszy szczególik widowiska, popełnił jednak gruby błąd, powierzając wykonanie roli Roberta Browninga panu Dobiesławowi Damięckiemu. Aktor ów nie posiada zupełnie warunków odpowiednich dla tej postaci. Zamiast zagrać wrażliwego, dystyngowanego poetę — zagrał jaskrawo wyelegantowanego baletnika, czy też artystę-fryzjera. Chwilami wyglądał zupełnie operetkowo. Browning w jego interpretacji stał się niemiłosiernie przesadnym, nieznośnie zgrywającym się kabotynem. Nie można było ani rusz pojąć, że tak subtelna istota, jak Elżbieta Barret w interpretacji pani Malickiej, zdolna się była rozkochać w tej pociesznej figurze, przystojnej wprawdzie, ale doszczętnie pozbawionej dobrego smaku i kultury.

Pani Malicka była Elżbietą zachwycającą. Wyglądała najwyżej na lat dwadzieścia parę. Grała wspaniale. Szkoda wielka jednak, że czarowała nas jedynie jako kobieta, nie zaś jako poetka. No, ale w tem niema ani odrobiny jej winy. O to możemy żywić pretensję jedynie do pana Rudolfa Besier'a. Musieliśmy mu na słowo uwierzyć, że ta urocza istota, wylegująca się przez długi szereg odsłon z ujmującym wdziękiem na szezlągu — pisuje w antraktach cudne wiersze.

Rolę ojca Elżbiety — Edwarda Barret — odtworzył bardzo efektownie pan Kazimierz Justjan. Miał świetną maskę, wyborne gesty i akcenty głosu. Był ucieleśnionym John Bullem — Anglikiem od pięt do zuba. Dał typ żywcem wystrzyżony ze staroświeckich ilustracyj do zbytkownego wydania Dickensowskiego „Dawida Copperfielda".

Siostrami Elżbiety Barret były p.p.: Marja Żabczyńska i Irena Wasiutyńska. Obie doskonale prezentowały się w krynolinach. Obie grały bardzo dobrze.

Szóstkę braci Elżbiety odtworzyli p.p.: Stefan Wroncki, Ziemowit Karpiński, Stefan Michalak, Stanisław Żeleński, Mieczysław Milecki i Leszek Pośpiełowski.

Całe to obfite rodzeństwo zostało znakomicie wymusztrowane przez reżysera. Przypominało swojem wydyscyplinowaniem dawne dobre czasy redutowe.

W epizodycznych rolach wystąpili ponadto p.p.: Janina Krzymuska, Juljan Krzewiński, Aleksander Bogusiński i Jerzy Pichelski.

Specjalne komplementy należą się pani Zofji Węgierkowej, dekoratorce, która stworzyła efektowne wnętrze londyńskiego pokoju Elżbiety Barret, przy ulicy Wimpole, w którym cała akcja sztuki się rozgrywa. S. G.

„NADZIEJA" W TEATRZE POLSKIM

PEWIEN autor dramatyczny, z którym zdarzyło mi się wracając do domu po premjerze „Nadziei" Bernsteina rozmawiać, wytykał tej sztuce szereg niezgrabności kompozycyjnych. Twierdził, że utwór jest bardzo rozwlekły, że ma niemiłosiernie długą ekspozycję, że sztuka zyskałaby bardzo na tem, gdyby Bernstein pięć aktów zredukował do trzech. Dziwił się, że te błędy czy niezgrabności—zdaniem jego bardzo rażące — popełnił właśnie Bernstein — jeden z najdoświadczeńszych pisarzy dramatycznych w Europie, uchodzący w mniemaniu powszechnem za prawdziwego wirtuoza w konstruowaniu sztuk teatralnych.

Osobiście żadnego z błędów wytkniętych przez mojego rozmówcę nie zauważyłem. Nie wiedziałbym do tej pory, że istnieją, gdyby mi ich nie wyliczono i wymownie nie udowodniono. Tak byłem zajęty grą aktorów i tak rozciekawiony widowiskiem, że z omyłek i potknięć autorskich nie zdawałem sobie wcale sprawy, pomimo że lubię — patrząc na przedstawienie teatralne — poszukiwać dziur na całem.

„Nadzieja" — jest sztuką pozbawioną wprawdzie zupełnie poezji, ale bardzo zajmującą. Bernstein utrzymuje uwagę widza w nieustannem naprężeniu. Pięć aktów bynajmniej się nie dłuży. Gdyby dorzucono akt szósty publiczność wysłuchałaby go napewno z nieosłabłem zainteresowaniem i byłaby autorowi za hojność wdzięczna. Wszystkie wady utworu mierzchną bowiem i stają się dla widza niedostrzegalne, wobec jego zalet. Najwalniejszą z owych zalet jest wspaniała rola Teresy Goinard.

Nie mam pojęcia, dla której z paryskich aktorek Bernstein rolę ową napisał. Wydaje mi się jednak rzeczą niemożliwą, — nie umiem sobie tego wcale wyobrazić — aby ktokolwiek na świecie szerokim był w stanie zagrać rolę ową lepiej, niż to uczyniła pani Marja Przybyłko-Potocka. Rola owa dała okazję wielkiej artystce do stworzenia jednej z najświetniejszych, najbardziej zachwycających kreacyj aktorskich, jakie w ciągu ostatnich lat dwudziestu mieliśmy okazję w Warszawie oglądać.

Teresa Goinard przekroczyła prawdopodobnie już sześćdziesiątkę, zdążyła pochować jednego męża w grobie, a z drugim przeżyć dwadzieścia parę lat, posiada dwie dorosłe córki — (jedną z pierwszego, drugą z drugiego małżeństwa) — pomimo to nie chce się pożegnać z młodością i przedłużając ją w nieskończoność przy pomocy zabiegów kosmetycznych— prowadzi ciągle pełne uciech zmysłowych życie bogatej, zepsutej, rozwydrzonej, wielkoświatowej lwicy.

Bernstein znakomicie zaobserwował i z prawdziwem mistrzostwem przedstawił psychologję tej zgangrenowanej duchowo burżujki, która w miarę im bardziej się starzeje, im bliżej dostrzega przed sobą nieuchronny kres erotycznych przyjemności, tem bardziej jadowicieje, tem potworniej histeryzuje, tem bezlitośniej zatruwa życie swojemu otoczeniu (przedewszystkiem mężowi), ten staje się nikczemniejsza, samolubniejsza, wyuzdańsza.

Rysunek owej postaci wydaje się na scenie tak żywy, tak suggestywny, tak wiarygodny, że okupuje bladość i niedokrewność innych figur. Dopiero teraz, pisząc recenzję nazajutrz po przedstawieniu, dostrzegam w tym rysunku pewne niedociągnięcie: nienawiść mianowicie, jaką Teresa Goinard żywi względem swojej starszej córki Katarzyny nie została, — mam wrażenie — dostatecznie umotywowana. Bernstein powinien był przynajmniej nam napomknąć, co nienawiść ową spowodowało. Histerja Teresy wydaje mi się w tej chwili powodem niewystarczającym.

Pani Marja Przybyłko-Potocka niedociągnięcia owe całkowicie uniewidoczniła. Dzięki jej wspaniałej interpretacji postać Teresy wyszła na scenie nieskazitelnie czysto i ostro

Zachwycając się jej grą, tem co ona jako aktorka stworzyła, podziwialiśmy suggestywność Bernsteina być może cokolwiek ponad zasługę. Gra pani Potockiej blaskami swemi przyćmiewała grę reszty aktorów, biorących udział w przedstawieniu: pp. Brydzińskiego, Warneckiego, Romanówny i Kreczmara. Wszyscy aktorzy grali wybornie, ale stanowili tylko dyskretny akompanjament roli naczelnej. Panna Romanówna usunęła się na drugi plan po bohatersku: w akcie pierwszym Solange była wymalowana tak jaskrawo, że wyglądała starzej od swojej matki. Panna Lindorfówna nie została zaćmiona. Rola Katarzyny, — to jedna z najlepszych ról tej artystki. S. G.

MUZYKA

FILHARMONJA — Niedawno wpadł mi w oczy artykuł p. Hemara, drukowany w organie T.K.K.T., miesięczniku „Teatr" na temat „Pięknej Heleny" i muzyki Offenbacha, artykuł pod każdym względem — znamienny. P. Hemar, mówiąc o Offenbachu, jako o żydzie wychowanym w atmosferze niemieckiej i przeniesionym potem na grunt francuski, pokazał bardzo istotne dla artysty cechy żydowskie, podkreślił swe z nim pokrewieństwo duchowe, udowadniając to zaraz potem bardzo trafnie ujętą i wyraźnie odczutą charakterystyką twórcy oraz doskonałem porównaniem komizmu offenbachowskiej muzyki z współczesnym nam humorem Chaplina.

Głos p. Hemara nazwałem znamiennym, takie bowiem uczciwe, bo prawdziwe postawienie sprawy należy do zjawisk bardzo wprawdzie dotychczas jeszcze odosobnionych, niemniej jednak spotykanych już coraz częściej, gdy tymczasem parę lat temu... Przecież nazwanie np. Schönberga żydem określano hałaśliwie jako „kołtuństwo", a na stanowisko Reissa nie cofającego się przed wykazywaniem cech żydowskich takiego np. Mahlera, kręcono głowami z podziwem, graniczącym z zupełnem niezrozumieniem i jakiemś nieledwie politowaniem.

Uwagi te nasunął mi piątkowy występ wybitnego kapelmistrza żydowskiego, Jaschy Horensteina.

— — — — — — — — — — — — — —

Ostatnio słuchałem go rok temu, kiedy przyjechał do Warszawy, jako świeżo upieczony emigrant Trzeciej Rzeszy, która wyrzuceniem go poza swe granice wyraźnie zaznaczyła, iż nie pragnie, ażeby mimo swej wysokiej klasy, reprezentował jej sztukę.

Ówczesny występ Horensteina wywarł na mnie duże wrażenie, zrozumiałem jednak równocześnie, jak obcą mi jest jego sztuka, jak innym ten świat, który, jako niewątpliwy artysta, w sobie nosi. Podobnego wrażenia doznałem niedawno, gdy grał Imre Ungar; przy słuchaniu Chopina odczuwałem boleśnie, że mam do czynienia z intruzem.

W ubiegły piątek Horenstein prowadził *concerto grosso* Haendla, symfonję *g-moll* Mozarta, „*Nevermore*" Morawskiego, „Ucznia czarnoksiężnika" Dukasa oraz akompanjament koncertu *g-dur* Beethovena. Sposób ujęcia, precyzja oraz nieskazitelność wykonania, zalecały raz jeszcze Horensteina, jako muzyka o wysokiej kulturze, aczkolwiek— obcej zupełnie. Czego bowiem przejawem jest owo przeintelektualizowanie lub zbędna doza jakiegoś głęboko tkwiącego, specyficznego sentymentalizmu?

Przy fortepianie B e v e r i d g e W e b s t e r. Ogromny talent, wychowany w doskonałej szkole. Wykonaniem Beethovena, zarówno przez sposób interpretacji, jak i pokonywanie trudności technicznych, ukazał siebie w jaknajbardziej korzystnem świetle, karząc wierzyć w przyszłość swego nazwiska na polu sztuki odtwórczej.

W. NARUSZ

ZMARLI

Ś. P. WOJCIECH GÓRSKI

W DNIU 11 b. m. zmarł w Warszawie w swojej szkole ś. p. Wojciech Górski, słynny pedagog, niepospolity człowiek.

Urodzony w r. 1849 przeżył lat 86. Szkołę przez siebie stworzoną prowadził lat 58. Pochodził z Grójeckiego (woj. Warszawskie), szkołę średnią ukończył w Warszawie 1869 r., poczem studjował nauki fizyko-matematyczne w Szkole Głównej.

Jako młody nauczyciel pracował zrazu w szkole prywatnej A. Szmurły (przy ul. Długiej), w której był też inspektorem. W r. 1878 założył własną szkołę i od tego czasu był jej kierownikiem. Szkoła zasłynęła na cały kraj, ubiegano się o miejsce na jej ławkach. Oddany całą duszą sprawie wychowania, wielki patrjota zrobił z niej wzorową uczelnię. W r. 1905 wprowadził język wykładowy polski, od r. 1907 system semestralny. Przed paru laty wprowadził wakacje zimowe. Od r. 1921 przemianował szkołę na publiczną pod wezwaniem św. Wojciecha, od r. 1929 utworzył fundację im. Górskich.

Był to człowiek niewiarogodnej żywotności i pracowitości. Do późnego wieku ruchliwy, celował bystrością umysłu i niesłabnącą uczuciową ideowością. Wieczna młodość jego budziła podziw, a szlachetność duszy, czujność i górność myślenia zniewalały dla niego wszystkich.

Zmarł w czasie posiedzenia pedagogicznego podczas dyskusji, po dłuższem przemówieniu, otoczony gronem nauczycieli.

Śmierć jego zrobiła w Warszawie, gdzie był jedną z najpopularniejszych postaci, wielkie wrażenie. Niezliczone rzesze jego uczniów i współpracowników okryła ciężka żałoba.

NA MARGINESIE

Akademik literatury, Piotr Choynowski, współwłaściciel firmy Gebethner i Wolff, wstąpił (w organie p. J. Jędrzejewicza, „Kurjerze Porannym") w szranki zapasów o ustawę bibljoteczną dla gmin. Walczy z b. min. Matuszewskim.

Upomina się o prawa „kultury i ducha". „Schodzą one na psy"! „Jeden jedyny rząd b. premjera Jędrzejewicza miał cywilną odwagę niemi się zająć"...

Dodając sobie animuszu, pokrzykuje:

— „Cóż u Boga Ojca!"

— „Co tu długo gadać..."

Musi być zrobione. „Optymizm mój" — powiada—„jest nietylko drcgi, ale nawet i przymusowy"...

Wiele go kosztuje, ale musi.

Sprawa kultury i ducha „żadnej z naszych partyj nie obchodzi". „Nam jednak pisarzom polskim chodzi o samą rzecz". (Pisarze do żadnej partji nie należą).

Dużo gadania, ani jeden sztych nie trafia w sedno. Artykuł nosi napis wielki: „Strach przed książką". Na tej stronie jest jeszcze tylko jeden artykuł: „Kwatermistrz bohaterów z pod Bezdan".

Niegodną pisarza insynuacją jest zarzucanie opinji, że kieruje nią w tym wypadku strach przed książką. Natomiast godną powieściopisarza rzeczą byłoby wiedzieć, że jest to strach przed ludźmi, którzy ze swoją książką chcą iść do ludu.

Jest to właśnie troska o kulturę i ducha.

Opinja bała się także Akademji Literatury z tego samego względu. Bo na cóż ona? Na to, żeby pisarze wysługiwali się agitatorom? Takim, którzy przed opinją tają ideową stronę swojej polityki kulturalnej?

A gdzież to był p. Choynowski dotąd w sprawach oświatowych? Nie słyszeliśmy o nim.

ERRATA

W poprzednim (6) zeszycie „Myśli Narodowej" opuszczony został omyłkowo, pod serją wierszy p. t. „Skotopaski", podpis autora, p. JANUSZA KAWECKIEGO.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-43. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM